Nr. 3. Warszawa, dnia 9 (21) Stycznia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1898.

III.

Doczekała się nareszcie Kreta w roku ubiegłym wyzwolenia z pod Turków. Na wiosnę już Rosya myślała o wprowadzeniu na gubernatorstwo ks. Jerzego greckiego. W lecie układali „admirałowie" na miejscu, posłowie w Konstantynopolu statut organiczny. Kandydatury wszakże nie przyjęto, konstytucyę opracowywano bawełnianą ręką. Byłoby może znowu wszystko ugrzęzło w ochronnym rowie dyplomacyi, gdyby nie sami muzułmanie. Pobudzeni przez krzywdzące jakoby postępowanie władzy admiralskiej, w danym wypadku angielskiej, urządzili oni d. 6 września w Megalokastronie (Kandyi) rzeź chrześcian miejscowych i żołnierzy angielskich. Krew kilkuset ofiar noża muzułmańskiego obudziła w Anglikach taką energię, że inne mocarstwa działające— a po usunięciu się Austryi i Niemiec było ich trzy — widząc już konieczność stalszego porządku, a obawiając się energii angielskiej — postanowiły wespół z Anglią nieodwołalnie już uporządkować wyspę bez pozwolenia i udziału Turcyi. Postawiono Porcie we wrześniu *ultimatum* w siedmiu punktach, z których najważniejsze były: wyniesienie się zupełne Turków z wyspy i doskonały jej samorząd z księciem Jerzym na czele. W październiku Porta się poddała.

W listopadzie zaczęli już Turcy wynosić się z wyspy — prócz rządu jeszcze i nieco rodzin tureckich: miąższ przecież muzułmański, z Turków i poturczeńców, pozostał i rządy mają być prowadzone tak, aby temu żywiołowi, wrosłemu już w Kretę, krzywda się nie działa. W grudniu nowa widownia dziejów kreteńskich była już oczyszczoną z Turków, nawet z flagi tureckiej, którą wyjątkowo tylko dopuszczono. D. 21 t. m. odbył się wjazd syna króla greckiego do stolicy, Kanei. Wyspą rządzić będzie nie jako generał-gubernator, ale jako komisarz mocarstw, z ich ramienia działający. Do końca roku nie było zaburzeń; zdaje się, że nareszcie nie będzie ich i później. Wojska Europy pomnożone, dochodzące do 20,000, wystarczą do utrzymania spokoju. Kreta nie wróci już nigdy pod Turcyę, a komisarstwo jest tylko stanem przejściowym przed przyłączeniem zupełnem do Grecyi. Muzułmanie oswoją się ze swym losem, jeśli rządy będą roztropne i sprawiedliwe; a nadzór Europy daje tu rękojmie lepsze od tych, jakieby mógł dać ateński rozum stanu i ateńska energia polityczna. Książę komisarz wraz ze znakomitszymi obywatelami zabrał się do poprawienia statutu. Dotychczas muzułmanie współdziałają z chrześcianami.

To, co się działo w Austro-Węgrzech, należy do dziejów powszechnych w ścisłem, z pojęcia uniwersalizmu wypływającem znaczeniu. Zarówno przed, jak i za Litawą wrzały namiętności, wymagania i potrzeby, których wynikiem ostatecznym może być albo nowe ukształtowanie się organizmu politycznego Austro-Węgier, albo też nowy zupełnie układ mocarstwowy terytoryów je składających. Te walki, które r. 1898 odziedziczył po swym poprzedniku, nie są wewnętrznemi tylko sprawami monarchii habsburskiej: zarówno ruch odśrodkowy Niemców czeskich, jak dążność do wyzwolenia się z dotychczasowego dualizmu, nabierająca już ogólnie-narodowego charakteru na Węgrzech, mają doniosłość dla stosunków powszechnych Europy, sięgającą daleko po za moment chwilowej niemocy, w jaką wprawiać muszą wewnętrzne, tak uporczywe i zaciekłe rozterki. Walczące z dotychczasowymi porządkami oba owe prądy odśrodkowe w r. 1898 wzmogły się w siłę. Oba sejmy na jesieni przedstawiały znowa obraz zupełnej rozbieżności i przygotowującego się rozkładu. Konstytucyjne załatwienie spraw dla istnienia niezbędnych było niemożliwem: jednostronna wola wspólnego monarchy musiała spełnić to, czego jej odmówiły sejmy. Głupota tylko, doktrynerstwo, samolubstwo umysłowe, przywiązanie dziecinne do pewnych absolutów, mogą tej konieczności nie widzieć.

Rozporządzenia Badeniego dla Czech i Moraw o języku służbowym zastąpił d. 3 marca Gautsch, jego następca (od końca listopada 1897 r.) własnemi, które używanie języka oparły na zasadzie statystycznej: przemagającej na danem terytoryum narodowości. Są tedy okręgi czeskie, niemieckie i mieszane, kraj podzielony między Czechów i Niemców. Rozporządzenia te rozsrożyły niemieetwo czeskie nie mniej od badeniowskich, a bardziej jeszcze od nich pozostały teoretycznemi. W parę dni po ogłoszeniu ich w *Wiener Ztng*, Gautsch, zdaje się, że z ich powodu, dostał dymisyę. Cesarz na prezesa rządu powołał Thuna Franc., jednego z posłów czeskich, a niegdyś namiestnika, i ten rządził do końca roku. W grudniu minister sprawiedliwości wydał polecenie obowiązujące dla Czech, Moraw i Szląska, aby sprawy załatwiano w języku podań. Niemcy czescy żadnego rozwiązania nie przyjmą i nie uspokoją się, dopóki nie wedrą się napowrót na stanowisko „pierwszego, panującego plemienia," tj. nie zaprowadzą rządów centralistycznych, a Austryi nie uczynią niemiecką, jaką była za Metternichów, Stadionów i Bachów. Tymczasem Austrya, jeśli wogóle być ma, musi być słowiańsko-niemiecką, federalistyczną, z przewagą żywiołu słowiańskiego, z samej liczby wynikającą. Przeciwko pysze i zdradzie niemieckiej, znajdującej zachętę w nienawiści Węgier ku żywiołowi słowiańskiemu, jedna tylko

potęga skutecznie wystąpić może: jedność Słowian austryackich.

Sprawa Dreyfusa rozpoczęła się na to w r. 1897, aby się może jeszcze i w 1899 nie skończyć. Była ona sprawą nietylko Francyi, ale Europy całej, jej opinii publicznej, jej stronnictw politycznych i społecznych — jej upodobań i nienawiści—ostatecznie jej etyki. Na to jedynie rozumne i politycznie potrzebne hasło, jakie odrazu rzucił obóz szczerze postępowy całego świata aryjskiego — hasło „Rewizya procesu" — rok ubiegły dał odpowiedź przychylną, a dał może tylko dzięki szczęsnemu przypadkowi, który po wyborach majowych do Izby deputowanych zmiótł Meline'a, jego wsteczność i połowiczność, i na cztery miesiące przeniósł ster rządu do republikanów pod Brissonem (27 czerwca — 26 paźdz.). Z tym przypadkiem złączył się jeszcze inny: obnażenie sztabu generalnego, opierającego się rewizyi, przez jednego z jego pachołków, Henry'ego (po r. 1894, kiedy skazywano Dreyfusa, naczelnika biura wywiadowczego w ministeryum wojny), który sfałszował jeden z aktów do wykazania winy użytych, przyznał się do fałszu, a wtrącony do więzienia, brzytwą poderznął sobie gardło (30 i 31 sierpnia).

Oba te przypadki złożyły się na los pomyślny dla rewizyi. We wrześniu rada gabinetowa postanowiła wejść na jedyną drogę, na której zajaśnieć może prawda. Po wytoczeniu śledztwa i wydaniu opinii przedwstępnej przez umyślnie na to istniejące kolegium sądowo - administracyjne, skierowano sprawę do sądu kasacyjnego, który sam podjął śledztwo i od października do końca roku prowadził je wśród niezliczonych przeszkód, strachów, gróźb, napaści i dziecinnych nawet oskarżeń. Dopiero w samym końcu roku wydano mu ów *dossier* tajemny, w którym znajdować się miała korespondencya Dreyfusa z cesarzem Wilhelmem, tymczasem przez sztab generalny wypruta. Sztab ma wciąż stronnictwo, ma je armia cała, ma jej honor. Izba stwierdziła d. 26 października zasadę wyższości władzy cywilnej nad wojskową i tę zasadę nowy po Brissonie gabinet Dupuy-Freycinet'a za swoją uznać musiał. Ujęcie się Zoli za sprawiedliwością w d. 13 stycznia w liście do prezydenta rzeczypospolitej ściągnęło nań proces, który w lipcu zakończył się skazaniem znakomitego pisarza na rok więzienia i grzywny, a następnie ucieczką skazanego za granicę.

D. 10 września anarchista, Włoch Luccheni, przebywający w Szwajcaryi, zamordował w Genewie cesarzową austryacką, Elżbietę. Nieszczęśliwa cesarzowa natknęła się na sztylet mordercy prawdziwie jak ofiara ślepego losu. Morderca wspólników swych nie wydał i dopiero po skazaniu na dożywotnie więzienie (najwyższa kara w kantonie) wymienił jakiegoś dopomagacza. Szwajcarya i Włochy zatrwożyły się. Ściganie anarchistów przybrało w obu krajach wielkie rozmiary, a wydalanie za granicę sprawiło wiele kłopotu. We wrześniu już nowy po Rudinim (od czerwca) gabinet gen. Pelloux wezwał mocarstwa na wspólne narady nad środkami ukrócenia anarchizmu. Wszystkie pospieszyły z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. D. 24 listopada zebrała się w Rzymie konferencya i do d. 20 grudnia pracowała tajemnie. Zgodzono się na wspólne biuro wywiadowcze, zawiadamiające o indywiduach niebezpiecznych. Na ustalenie prawnego charakteru anarchizmu zgodzić się nie zdołano. Anglia nie podpisała uchwał, które ujęte są tylko w protokół.

D. 24 sierpnia minister spraw zagranicznych, hr. Murawjew, rozesłał do mocarstw okólnik, wykazujący potrzebę ograniczenia dalszych uzbrojeń. Akt ten, zredagowany wymownie, w sposób teoretycznie przekonywający, spotkał się z ogólnem uznaniem rządów i narodów europejskich. Wszyscy przyrzekli już współdziałanie; wielkie mocarstwa dodały zastrzeżenie, aby nie poruszano wcale spraw terytoryalnych i wogóle konkretnych po za obrębem samych uzbrojeń. Wspólne narady poprzedzić będzie musiało ułożenie wspólnego programatu i w stadyum tej właśnie czynności znajdowała się cała sprawa w końcu roku. Narady odbyć się mają w maju w Petersburgu.

Tymczasem owe dalsze uzbrojenia wszędzie w żywsze weszły tempo. Anglia pomnaża i swe wojska lądowe i marynarkę, 8 mil. funt. przeznacza na same okręty; Francya powiększa etat liczebny swej armii, 200 mil. fr. za niezbędne dla floty uważa; Niemcy dodają prawie 30,000 ludzi do corocznego etatu; zbroi się nawet Szwecya, a Amerykanie — nowe mocarstwo — do 100,000 podnoszą swą stałą armię i nie ustają w trosce o flotę. Wszędzie pokój, ale pod postacią przygotowań wojennych.

Tydzień polityczny. Niemcy czescy po świętach jeszcze lepiej poczynają sobie, niż przed świętami: d. 17 b. m. na pierwszem posiedzeniu styczniowem nad samym porządkiem dziennym zapowiedzieli tyle mów, że gdyby im chciano na wygadanie się pozwolić, nie starczyłyby dwa tygodnie na wszystkie krasomówstwa upusty. Postanowili oni już teraz stanowczo albo shołdować Austryę, albo ją zdusić. Ruch odśrodkowy polityczny, dążący do Berlina, wzmacniają religijnym, a raczej pozorami religijnego: podburzają ludność katolicką niemiecką do przechodzenia na protestantyzm, aby tylko być dalej od katolickiej Austryi, a bliżej protestanckich Prus urzędowych. Gdyby teraz powtórzył się rok 1866, Prusy miałyby zadanie niezmiernie ułatwione i politycznie i wojennie. Nie skończyłoby się na Nikolsburgu; pruski patryotyzm Austryaków doprowadziłby Prusaków do Wiednia.

Quesnay de Beaurepaire wydzwonił już swą prawdę. Trzy ciągi jego zwierzeń obejmują same drobnostki, głupstwa, jakby bredzenie zdziecinniałego starca. Mimo to sąd kasacyjny prowadzi śledztwo.

Na Filipinach krajowcy podtrzymują wciąż przeciw Amerykanom powstanie wszczęte przeciw Hiszpanom. Mc Kinley zwołał wielką radę: co robić?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OFIARNOŚĆ PUBLICZNA.

Społeczeństwo nasze bardzo ubogie, a potrzeby jego niezmiernie wielkie. Gdy potrzeba płynie z głębi uczuć i staje się obowiązkiem obywatelskim, wtedy wystarcza tylko samo wezwanie do ofiar. Gdy zaś chodzi o cząstkowe zaspokojenie niedomagań,

2)

Oliwia Schreiner

SEN W CIEMNĄ NOC

(przekład z angielskiego).

Mężczyźni i kobiety siedzieli przy stołach i wychylali pełne puhary. Niektórzy z nich wstawali od stołu, rzucali się sobie wzajemnie w objęcia, tańczyli i śpiewali. Wznoszono toasty, trącano się kieliszkami; jedni pili za zdrowie drugich i całowali się wzajemnie w czerwone jak krew usta. Uczta przechodziła w dziką orgię.

Ci mężczyźni, którzy nie mogli dopić wina, pozostałego w ich puharach, wylewali je, a ono kaskadami spływało na podłogę. Kobiety farbowały niem swe suknie i czerwieniły maleńkie, niewinne usteczka swych dzieci. Od czasu do czasu tańcząca para przewracała dzban, stojący na podłodze i wino bryzgało im na suknie. Dzieci siedziały na ziemi przed ogromnemi czarami z winem i puszczały po jego powierzchni drobne łódeczki z listków róży; rączkami pluskały się w niem i dobywały wielkie bańki czerwone.

A fale pijanej bachanalii wzdymały się coraz wyżej. Coraz szaleńszymi stawały się tańce, coraz głośniejszemi pieśni. Lecz w tłumie tym można było dostrzedz i ludzi samotnych, którzy nie przyjmowali udziału w orgii. Siedzieli oni w różnych końcach sali i oparłszy się na łokciach, ukrywali twarz w dłoniach. Wzrok ich był utkwiony w stojące przed nimi puhary wina, lecz go nie pili. Gdy kto dotykał ich ramienia, aby ich zachęcić do tańca lub śpiewu, dreszcz przestrachu wstrząsał ich ciałem, a potem znów swój wzrok nieruchomy wlepiali w stojące przed nimi wino. Zauważyłem też i kilka kobiet, siedzących samotnie. Inne tańczyły, śpiewały lub karmiły swe dzieci i siedziały bez ruchu, bez dźwięku, schyliwszy głowy, jak gdyby przysłuchiwały się czemuś. Dzieci ciągnęły je za suknie, ale one nie widziały, nie czuły tego i wciąż przysłuchiwały się niepojętym jakimś dla nich dźwiękom.

A orgia trwała dalej.

Mężczyźni pili do zupełnej utraty przytomności i oparłszy głowy o kraj stołu, zasypiali snem ciężkim. Kobiety, zmęczone tańcem, rzucały się na ławy i kładły głowy na ramionach swoich kochanków. Od czasu do czasu ktoś z ucztujących nagle wstawał i przewracał krzesło, na którem siedział; inni, przechyleni przez poręcz, zwieszali się na niej nieprzytomnie lub chwiejąc się, podchodzili do dzbanów z winem i padali przy nich bez czucia. Ktoś mimowolnie otwiera kran dzbanu i zmożony snem pada na podłogę, a wino cienkim, czerwonym strumieniem płynie po białych, marmurowych płytach, dosięga schodów, kroplami ścieka po stopniach i wreszcie spływa na ziemię, w którą wsiąka bez śladu.

Nie mogłem słowa wymówić, coś mnie za gardło ściskało. Lecz Duch zawołał na mnie i powiódł dalej.

Wkrótce nowy widok uderzył moje oczy. Na siedmiu pagórkach leżały ruiny olbrzymiego gmachu. O ile z pozoru sądzić można, był on niegdyś większy jeszcze i wspanialszy, niż ten, któryśmy opuścili niedawno.

Wstrząśnięty tymi widokami, zapytałem:

— A ludzie, którzy ten gmach wznieśli, co robili?

— Ucztowali — odrzekł Duch.

— I także pili wino?

złagodzenie cierpień, o otarcie łez na nizinach niedoli, o pomoc w razie jakiego nieszczęścia, katastrofy, natenczas samo wezwanie nie wystarcza, więc musimy grać na wrażliwości ogółu i rzucać mu jaskrawe obrazy nietylko do mózgu, lecz wprost do serca. Czasami zaś, działając w imię zasady, że cel uświęca środki, podchwytujemy słabe strony danych warstw społecznych i za ich pośrednictwem, tj. za pomocą balów, rautów, koncertów, widowisk, wyciskamy z mas mniej wrażliwych, a chętnie pływających po powierzchni życia, te drobne odsetki, które się wytworzyły ze śmiechu i wosku startego na posadzce, lub wyszedłszy jako opary zabawy, skropliły się następnie w rosę ożywczą dla cierpiących.

A jednak nawet za pomocą takich środków skraplania w połączeniu z ofiarami bezpośredniemi zdołano stworzyć u nas kilka instytucyj społecznych: czytelnie bezpłatne, kasy rzemieślnicze, Towarzystwo kolonij letnich, liczne przytułki i zakłady, wreszcie pogotowie ratunkowe. Tam zaś, gdzie wrażliwość i uczucia w danej chwili są silnie podniecone — społeczeństwo niesie pomoc masową.

Natomiast gdy idzie o zaspokojenie takich potrzeb, które są stałem zjawiskiem niedomagań — sprawa staje się trudniejszą i wtedy trzeba już użyć różnych sposobów, ażeby jako tako załagodzić dotkliwe braki.

Między innemi należą do nich niepłacone wpisy młodzieży ubogiej. Dawno nie pamiętamy, ażeby braki te ujawniły się tak daleco, jak na schyłku roku ubiegłego. Na smutnym indeksie niedostatku i nędzy do ostatniego terminu figurowała rażąco wielka liczba młodzieży, zagrożonej w różnych zakładach naukowych wydaleniem za niepłacenie prawa korzystania z nauki. Do ostatniej chwili pisma wołały o pomoc dla tej rzeszy ubogiej i zdaje się znaczną część musiała jednak opuścić szkoły, pomimo zdolności i gorących chęci do nauki. A jednak możeby zebranie co pół roku sumy odpowiedniej nie było tak trudne, gdyby do obowiązku spłaty długów społecznych czy prywatnych poczuwali się ci, którzy w okresie szkolnym, jako ubodzy, korzystali z ofiarności ludzkiej.

Słusznie niedawno *Gazeta Kaliska* zaznaczyła, że pomoc społeczeństwa w formie stypendyów należy uważać jako dług, i to nie jako moralny, który trzeba spłacić doskonaleniem się we własnym zawodzie, ale także jako prosty, zwyczajny dług pieniężny. „Ofiarodawca nie przeznaczył zapisanych pieniędzy dla p. X. lub Y., ale dla młodzieży swego kraju. P. X. lub Y. po skończeniu studyów, po przebrnięciu najtrudniejszych lat pierwszych, w których stanowisko zawodowe ulega jeszcze częstemu falowaniu i niepewnościom, dochodzi do tego, że ma zapewnioną niezależność materyalną i taki stopień względnej zamożności, który może mu dać spokojne jutro." W takiej właśnie chwili powinien sobie przypomnieć, że jest dłużnikiem, że to, co wziął kiedyś, musi oddać dorastającemu obecnie pokoleniu, kandydatom na pożytecznych obywateli kraju. Powinien obliczyć, jak długo i w jakiej sumie pobierał stypendyum i przelać napowrót tę sumę w ręce potrzebujących, albo odrazu, jako nowe stypendyum, albo częściowo, jako wpis dla uczniów zakładów średnich. „Gdyby u nas bez wyjątku wszyscy, którzy korzystają za młodu z zapisów stypendyalnych i z ofiarności osób prywatnych, przejęci byli uczuciami długu względem młodzieży szkolnej, uprościłaby się znacznie bolesna kwestya wpisów."

Ludzi takich, którzy korzystali z ofiarności publicznej i prywatnej podczas studyów szkolnych, spotykaliśmy bardzo dużo i następnie przyglądaliśmy się przemianom w ich życiu. Im bardziej porastali w pierze, tem trudniejszym stawał się dostęp do ich serca, tem bardziej zatracali poczucie obowiązków społecznych. Tylko ludzie, obdarzeni wyjątkowo szlachetną i wrażliwą naturą, spłacili z lichwą długi zaciągnięte na swoje wykształcenie. Typowi karyerowicze, do których, niestety, znaczny procent naszej młodzieży się przerzuca — zrywają wszelkie nici obowiązków moralnych, skoro tylko poczują w sobie osobisty obowiązek robienia grosza. Instytucye społeczne, wszelkie stowarzyszenia, mają bardzo przykry, ale konieczny pręgierz: grożą publicznem ujawnieniem nazwisk tych członków, którzy nie wnoszą składek. Trudniejsza sprawa z wychowańcami społeczeństwa, którzy z niem zrywają, poczuwszy mocny grunt pod nogami. Byłby na to tylko jeden sposób: kształcić i wyrabiać w młodzieży naszej cnotę solidarności i poczucia potrzeb społecznych. Do tego wielce mogą się przyczynić stowarzyszenia pomocy dla młodzieży szkolnej. Członkami takich stowarzyszeń powinni być ci wszyscy, którzy skończyli średnie i wyższe zakłady naukowe. Drobne, lecz stałe składki, stworzyłyby znaczne sumy na coroczne opłacanie wpisów młodzieży niezamożnej. Wyjednanie zatwierdzenia przez władzę takich stowarzyszeń, zdaje się, nie byłoby trudne, bo już dziś sprawa ta w wyższych sferach sterniczych jest na porządku dziennym.

Z GALICYI.

Co robi Koło polskie w Wiedniu? — Jak wygląda „ratowanie sytuacyi" w rzeczywistości? — Czy zasługuje Czesław Kieszkowski na amnestyę?

Ponieważ sesye sejmowe trwały [...] dni i odroczone zostały prawdopodobnie do kwietnia, a wogóle zwołanie sejmu miało jedynie na celu uchwalenie prowizoryum budżetowego, przeto i o jego działalności wówczas mówić będziemy, gdy czynności swoje na nowo rozpocznie. Teraz przejść musimy do spraw bieżących.

Wobec rozmaitych potrzeb kraju niezałatwionych, wobec widocznego braku łączności między Kołem polskiem w Wiedniu a jego wyborcami, wobec niezmiernie małych rezultatów, jakie zdobyło dla Galicyi, wobec chwiejnego i zbyt uległego stanowiska jego względem rządu, w prasie galicyjskiej, a nawet w obozie umiarkowanym postawiono nareszcie pytanie: co robić? Już samo to pytanie jest dowodem niezwykłej odwagi pisma, które tę sprawę podjęło,

---

— Pili wino — powtórzył Duch.

Po za ruinami gmachu widocznem było na ziemi wielkie, okrągłe zagłębienie — ślad winnej tłoczni.

— Czemuż się zapadł ten gmach olbrzymi?

— Ziemia przesiąkła winem i zamieniła się na trzęsawisko.

I Duch prowadził mnie dalej: a gdyśmy weszli na szczyt jednego z pagórków, przed oczyma naszemi roztoczył się błękit wód, a dokoła na ziemi leżały odłamy białego marmuru.

— Co było tu dawniej? — spytałem.

— Dom uciech i uczt.

A gdy spojrzałem na filary z różnobarwnego marmuru, leżące u moich stóp, zawołałem w zachwycie:

— Toż tu marmur kwitnie!

— Tutaj stał niegdyś wspaniały gmach. Nie było nigdy i nie będzie nic podobnego. Otaczały go przecudne kolumny, a posągi były w nim jak żywe. Naczynia do wina miały kształt kwiatów, a zasłona była z jednej strony wyszyta złotem i ozdobiona malowidłami.

— Czemuż gmach ten w gruzy się rozsypał? — zapytałem.

— Bo z drugiej strony zasłony, tam, gdzie stała tłocznia wina, było ciemno — rzekł Duch.

Uszedłszy dalej, ujrzeliśmy łańcuch piaszczystych wydm. Ciemna rzeka płynęła u ich podnóża.

— Jakże wielkie są one! — zawołałem.

— Istotnie — odrzekł Duch.

Nagle jakieś dźwięki uderzyły moje uszy i Duch zapytał, czemu się przysłuchuję.

— Słyszę jakoby jęk i odgłosy uderzeń, ale nie wiem, skąd to pochodzi.

— To odgłosy tłoczni winnej nie zamarły jeszcze wśród tych gór. I tu ludzie niegdyś ucztowali — dodał Duch i powiódł mnie dalej.

Na nagiej, bezpłodnej skale rozkazał mi się zatrzymać.

— Tu również — rzekł — wznosił się dom, w którym ludzie w uciechach tonęli.

— Nie widzę nawet śladów tego domu — odparłem.

— Dlatego, że nie pozostał z niego nawet kamień na kamieniu.

Szliśmy dalej. Za łańcuchem gór rozciągała się piaszczysta pustynia bez końca i ze zdziwieniem spostrzegłem, że jak okiem zasięgnąć, była ona usiana odłamami kamieni, które jednak lotny piasek do połowy przysypał.

I rzekłem, zwracając się do Ducha:

— Widzę jakieś napisy na tych kamieniach, lecz odczytać ich nie mogę.

Duch zdmuchnął piasek z granitu i przeczytałem: „Zważone, osądzone..." Ostatniego wyrazu nie było.

— Czy i tu stał gmach, w którym ucztowali ludzie? — spytałem.

— Tak.

— A winną tłocznię czy znali?

— Znali.

Nie pytałem więcej. Zmęczony mój umysł żądał odpoczynku. Wzrok mój gubił się w przestrzeni, opromienionej różowem światłem zachodzącego słońca.

— Daleko przed sobą ujrzałem dwie olbrzymie postacie. Z wysoko podniesionemi skrzydłami i z surowym wyrazem oblicza, zdało się, patrzyły one w głąb piaszczystej równiny i stały tam jakby w oczekiwaniu. Nie były one podobne ani do człowieka, ani do żadnego zwierzęcia, ale nie zapytałem o nie Ducha, bo wiedziałem, co mi odpowie.

Zmęczony mój wzrok przenikał jednak wciąż dalej. Zasłoniłem oczy od światła i za piaskami równiny ujrzałem samotnie stojącą kolumnę. Wierzchołek jej odłamał się i zapadł w piasek. Na bezgłowej kolu-

gdyż zwykle dzienniki nasze zamiast krytyki własnej, zamieszczają referaty, przysłane z Wiednia.

Śmiały autor tego pytania, którym jest p. Romanowicz, jeden z dziennikarzy poważnych w Galicyi, zabierający głos w sprawach publicznych samodzielnie, wywołał bardzo pożądaną i bardzo ciekawą dyskusyę w samem Kole i można powiedzieć — przyczynił się do wyrwania go z bezczynności, pokrywanej płaszczykiem— pracy dla kraju. Nie twierdzę bynajmniej, że Koło nic nie robi, lecz że robota jego jest młynkowaniem politycznem, z którego kraj żadnych korzyści realnych nie odnosi, bo wytargowanie kilku kilometrów budowy drogi i tyleż regulacyi jakiejś rzeki, w chwili gdy inne narodowości zdobywają sobie lepsze warunki polityczne i ekonomiczne, donośnemi zdobyczami nazwać nie można.

Politycy Koła twierdzą w swoich pismach i starają się wmówić w apatyczne społeczeństwo galicyjskie, że „ratują sytuacyę," przez K. hr. Badeniego jakoby zepsutą. Owo „ratowanie," polegające na mydlkowaniu, na uśmiechach do rządu i na politykowaniu, jest znamienną cechą nietylko bezpłodności Koła, ale wykazuje brak śród jego członków wybitnych zdolności politycznych i ludzi samodzielnych. Właściwie nie brak, ale raczej zdolności te są skrępowane fałszywie zrozumianą i stosowaną solidarnością. W takim stanie rzeczy, jak dzisiejszy, Koło służy nie polskiemu narodowi, lecz interesom narodów obcych, gdyż popiera z jednej strony ugodę węgierską, a z drugiej podtrzymuje Czechów. Kiedy rząd jest w wielkich kłopotach wewnętrznych, kiedy Austrya, dzięki śmiałej i wielkiej polityce hr. Badeniego, weszła na drogę koniecznego przeobrażenia się — fakt niedoceniony przez Koło — nasi posłowie mają wszystkie atuty w ręku, a jakże ich używają? Na cudzą korzyść. Nie przeczę, że i to bywa dobre czasem, dotychczas wszakże dla Galicyi spadały tylko okruchy.

Czesi, dzięki naszemu poparciu, zdobyli już rozporządzenia językowe, otrzymali przyrzeczenie co do uniwersytetu w Bernie morawskim, a oprócz tego, jako warunek popierania rządów hr. Thuna, postawili 30 punktów, z których 26 uzyskali. A my? „Ratujemy sytuacyę," stworzoną własnem niedołęstwem. Nasuwa się pytanie: skutkiem czego zwyciężają Czesi? Z bardzo prostej przyczyny: pamiętają o tem, że bliższą ciała jest koszula. W polityce nie może być miłości platonicznej, tylko interes zobopólny. Tak też Czesi robią. Nie lubię porównywać naszej sytuacyi z nimi, bo ostatnimi czasy przybrało to charakter reklamy i trzeba nieraz oskrobywać grube warstwy pochwał, ażeby się prawdy doszukać. W tym wszakże wypadku zbyt jest widocznem, że Czesi zwyciężają nas stanowczością i wytrwałością. Gdy nasi politycy cofają się trwożliwie przed każdem żądaniem i załatwiają je, że tak powiem, w przedpokojach ministrów, ażeby nie utrudniać położenia rządu, Czesi, przy naszej pomocy, z tego położenia korzystają, mało troszcząc się tem, że „utrudniają" stanowisko hr. Thuna.

Koło polskie — jak słusznie pisze Romanowicz — reprezentuje kraj, który był zawsze zaniedbany, wobec którego państwo przez 100 lat prowadziło politykę podkopującą, który od ministrów Niemców niewiele mógł uzyskać, bo mu byli niechętni, a od ministrów Polaków nic więcej, bo nie chcieli wpaść w podejrzenie, że protegują swoich. Ono reprezentuje ludność, która skutkiem tej polityki rządu i wytworzonej przez nią własnej nieporadności upada pod brzemieniem ekonomicznego niedostatku, kraj, który w stosunku do swego obszaru i ludności ma najmniej dróg rządowych, najmniej kolei, najmniejszą długość uregulowanych rzek i nie posiada żadnych porządnych dróg wodnych, choćby je mógł mieć znakomite, który ma najmniej szkół średnich i rządowych przemysłowych, którego ludność wiejska cierpi na nieustanny niedobór fizyologicznie koniecznego wyżywienia. Wobec tego wszystkiego cóż robi Koło? „Ratuje sytuacyę," tj. wspiera z całem zaparciem się, a nieraz wbrew interesom kraju, rząd. Mnóstwo spraw ekonomicznych pierwszorzędnego znaczenia, które już dawno powinny być załatwione, mnóstwo praw politycznych, przysługujących nam na mocy konstytucyi, w życiu naszem publicznem nie stosuje się, a Koło udaje, że prowadzi jakąś wielką politykę, która w rzeczywistości krajowi niewiele przynosi.

Nic przeto dziwnego, że Koło spotyka się z naganą nietylko w kraju, lecz także w łonie własnej organizacyi. Dobra jest solidarność, potęgi i siły nikt jej zaprzeczyć nie może, ale niechże ona nie obejmuje tylko interesów pewnej grupy lub stronnictwa, stojącego u steru rządu, bo wówczas, jak dziś, nietylko pożytku nie przyniesie, ale zniechęci do swojej pracy jednych, rozgoryczy innych. Solidarność musi być hasłem, nie zaś prawem, musi mieć sztandar, pod którym skupiłyby się wszystkie nasze interesy i sprawy krajowe, a takiego sztandaru dzisiejsze Koło nie posiada. Coby to za potęgę mogli wytworzyć polscy posłowie w Radzie państwa, gdyby zdołano oprzeć tak zawsze pożądaną łączność na gruncie nie partykularnych, lecz ogólnych interesów i spraw! Dziś na to nie zanosi się. Największa grupa posłów jest bezczynną, bo solidarność skrępowała ich energię, a obok tej grupy istnieją kluby: ludowy, socyalistów i Stojałowczyków, działające na własną rękę wbrew, a niekiedy wrogo dla celów narodowych.

Dwie sprawy ostatnimi czasy wyszły po za ramy zwyczajnych i wywołały pewien rozgłos: jedna wiąże się z defraudacyą w Tow. wzajemnej asekuracyi w Krakowie, druga — jest epilogiem walk wyborczych. Wszyscy mają jeszcze w pamięci imię Czesława Kieszkowskiego, który matactwami swemi przyniósł duże szkody materyalne i moralne Towarzystwu, a mnóstwo biednych ludzi, którzy mu majątek swój powierzyli, obrabował zuchwale i lekkomyślnie. Krzywdy materyalne instytucyi zostały jako tako połatane, pieniądze prywatne utonęły bezpowrotnie w hulankach i pijatykach tego lwa salonowego, ale złe moralne, jakie wyrządził Galicyi i instytucyi, ufającej mu łatwowiernie, pozostało. Na działalność Towarzystwa patrzą teraz z pewną nieufnością — i mają słuszność. Źle się dzieje niewątpliwie tam, gdzie pod powagą i osłoną stronnictwa grasować mogą opryszki, ale gorzej, gdy czyny takich panów znajdą łagodnych sędziów. Coś podobnego stało się z Kieszkowskim, chyba według przysłowia: małych złodziei wieszają, a wielkim się kłaniają. Wiadomo, że łotrzyk ten znikł bez wieści, a posądzano nawet różnych starostów o to, że mu ułatwili zniknięcie. Nie wchodzę w prawdziwość tej pogłoski — dość, że uciekł. Nagle poczęli się pewni ludzie rozczulać nad jego losem i starać się o to, ażeby przedstawić go do łaski monarchy, obchodzącego teraz, jak wiadomo, pięćdziesięcioletni jubileusz panowania. Można wprawdzie mieć litość nad żoną i dziećmi nędznika, ale dla jego czynów i charakteru nie może być pobłażliwości. Prawo nie rozczula się— i w tem właśnie największa jego siła. Zwolnienie od odpowiedzialności Kieszkowskiego byłoby krzywdą moralną, wyrządzoną i społeczeństwu, a zachętą na przyszłość dla tego rodzaju panów. Należy spodziewać się, że sprawa ta zostanie przedstawioną komu należy w świetle właściwem i miłosierdzia

---

mnie siedziała, stuliwszy skrzydła, smutna mieszkanka pustyni — szara sowa, a na dole, w piasku, skradał się ostrożnie lis, włokąc za sobą swój długi ogon. I wzrok mój obejmował wciąż nowe horyzonty. Daleko, na samym skraju pustyni, majaczyły nowe wydmy piaszczyste, za któremi ukrywały się zapewne i nowe widoki.

Lecz ja, nie będąc w stanie oprzeć się dłużej uczuciu, co mnie przygniatało, zamknąłem oczy i zawołałem:

— Och, jakżem zmęczony!

— A jednak widziałeś ledwie połowę piekła.

— Odpuść mnie, ja dłużej patrzeć na to nie mogę! Strach mnie ogarnia, chociaż chodzę po swojej wązkiej, bezpiecznej dróżce. Gdy stąpam, zdaje mi się że wpadam do dołu, wykopanego pode mną; gdy wyciągam rękę, aby zerwać z drzewa nęcący mnie owoc, cofam ją czemprędzej ze strachem, że dotknęły się go może usta kobiety. Gdy spoglądam na tę równinę, zda mi się, że jest ona usiana grobami: gdy przechodzę koło kamieni, słyszę rozdzierające ich jęki. Patrząc na pary tańczące, nie mogę opędzić się myśli, że tańczą one przy dźwiękach łkań, a wino, którem się pokrzepiają — to żywa, ciepła krew. Jakże strasznem jest piekło, o Boże!..

— Dokąd więc chcesz pójść? — zapytał mnie Duch ze współczuciem.

— Chcę wrócić na ziemię; tam było mi lepiej.

Lecz Duch, usłyszawszy moją prośbę, dziwnie się jakoś uśmiechnął i zamiast zgodzić się na nią, rzekł:

Idź za mną, teraz pokażę ci niebo.

II.

Obudziłem się. Było cicho i ciemno. Turkot powozów na ulicy ucichł, śmiejąca się kobieta nie stała już pod mojem oknem i kroków policyanta nie było słychać na trotuarze. Śród ciemności nocnych poczułem niby jakąś potężną rękę, która legła na moje serce i ścisnęła je jakby kleszczami. Tchu mi brakło, dusiłem się. Ale wkrótce zasnąłem znowu i przerwany sen ciągnął się dalej.

Śniło mi się, żem był na samym końcu świata, a przede mną czerniała rozwarta przepaść, a gdym spojrzał na dół, zdało mi się, że jest ona bezdenną. Następnie spostrzegłem dwa mosty, przerzucone przez przepaść i prowadzące jak gdyby w górę.

Jest jeszcze jedna droga — rzekł Duch — po której można przejść na tamtą stronę, ale do niej daleko i prowadzi ona w górę stromo, niemal prostopadle.

Spytałem, jak się nazywają te mosty, lecz Duch rzekł mi:

Pocóż ci imiona? Nazywaj je, jak chcesz: Dobrem, Prawdą, Pięknem, a jednak jeszcze ich nie zrozumiesz.

— Dlaczego nie mogę widzieć trzeciego mostu?

— Gdyż widzą go tylko ci, co po nim idą.

— Czy wszystkie prowadzą do tego samego nieba?

— Niebo jest tylko jedno, lecz może być niższe i wyższe. Ci, którzy dosięgli wyższych stopni, mogą, jeżeli się czują zmęczeni, spuszczać się na niższe, ale ci, którzy stoją dopiero na niższych, nie zawsze mają dosyć sił, aby dosięgnąć wyższych.

(C. d. n.).

nie otrzyma ten, kto nie miał miłosierdzia nad innymi *).

Cho.

STOSUNKI SPOŁECZNE W KSIĘZTWIE POZNAŃSKIEM

W ŚWIETLE STATYSTYKI.

III

Rozejrzyjmy się teraz w stosunkach społecznych co do ludności, zatrudnionej w przemyśle i handlu.

Suma jej, wliczając zarobkujących, służbę domową i członków rodziny, wynosiła:

	w r. 1895	w r. 1882
przemysł	[illegible]	[illegible]
[illegible]	130,877	[illegible]
	[illegible]	[illegible]

Cyfry te wskazują, o ile handel i przemysł stały się ważniejszem, niż były przed 13 laty, źródłem dochodów w społeczeństwie. *Zarobkujących* zaś było: w przemyśle 131,052 w r. 1895, zaś 204,162 w 1882; w handlu 45,209 w r. 1895, 33,597 w 1882; razem 176,261 w r. 1895 i 137,759 w 1882. Na jednego zarobkującego wypada zatem w tych gałęziach pracy społecznej tylko 1,8 niezarobkujących bezpośrednio; stosunek ten nie zmienił się znacznie w ciągu owych lat 13. Dla porównania podajemy cyfry Saksonii: tu na jednego zarobkującego przypada 1,2. Wynika więc, że w przemyśle i handlu natężenie pracy — w tem znaczeniu, że możliwie znaczny procent ludności zostaje zaprzęgnięty do zarobkowania — jest ogromne. Jednakże Księztwo Poznańskie pod tym względem nie dorównywa jeszcze wysoko rozwiniętej przemysłowej Saksonii.

Zobaczmy teraz, jak przedstawia się podział ludności na grupy co do ich stanowiska w zawodzie. Grupy te są: *a*) samodzielnie zarobkujący, procederzyści i przedsiębiorcy; *b*) pomocnicy (technicy, buchhalterzy, subjekci handlowi); *c*) robotnicy. Było więc zarobkujących:

	Przemysł		Handel	
	r. 1895:	r. 1882:	r. 1895.	r. 1882:
w grupie *a*	40,885	43,219	16,763	16,761
„ *b*	3,610	2,318	3,882	2,415
„ *c*	86,557	58,625	24,564	14,421
[illegible]	[illegible]	104,162	[illegible]	[illegible]

Nad wyraz wymowne to cyfry. Rozpatrzmy się w nich.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy fakt: pomimo wzrostu ludności liczba samodzielnych kupców pozostała prawie bez zmiany, liczba zaś samodzielnych rzemieślników i przedsiębiorców przemysłowych nietylko nie wzrosła, lecz zmniejszyła się o 2,324 głów. Potrzeby tedy społeczeństwa zwiększyły się, lecz zadawala je mniejsza liczba procederzystów, to znaczy, że *odbyć się musiała znaczna koncentracya kapitałów*, będących w ręku tych procederzystów. Miarę siły tego procesu powziąć możemy ze wzrostu grup *b* i *c* najmitów. Na 100 przedsiębiorców w przemyśle przypadało najmitów: w r. 1882 — 143, w 1895 — 198; w handlu na 100 przedsiębiorców-kupców przypadało najmitów: w r 1882 — 100, w 1895 — 163. Koncentracya ta doniosła, a jej jako przeciwny biegun odpowiada proletaryzacya: w handlu liczba najmitów wzrosła o 41%, w przemyśle o 47,5%. Cały przyrost ludności, zatrudnionej w handlu, stanowią najmici, a w przemyśle więcej nawet, bo tu ubyło samodzielnych przedsiębiorców, podczas gdy ogólna liczba zarobkujących podniosła się. Dla porównania podajemy znów kilka cyfr: przemysł w królestwie pruskiem ma na 100 przedsiębiorców 308 najmitów, w Westfalii 463. Księztwo więc nie doszło jeszcze do tego stopnia koncentracyi kapitałów i proletaryzacyi społeczeństwa, co rozwinięta przemysłowo Westfalia, lecz nie ulega kwestyi, że szybko posuwa się na tej drodze. Wniosek stąd ogólny jest taki: kwestya społeczna w całej swej rozciągłości staje się kwestyą nawskróś żywotną dla tego kraju pozornie tak mało dotkniętego przez ogólny proces kapitalistyczny, odbywający się w Europie zachodniej.

Cząsteczką tej kwestyi jest sprawa kobieca. Zobaczmy, co o niej mówią cyfry: Liczono kobiet zarobkujących w przemyśle w 1882 r. 12,210, w 1895 — 17,074; w handlu zaś w 1882 r. 5,709, w 1895 — 11,318. A więc liczba zarobkujących w tych gałęziach pracy społecznej wzrosła o 10 tysięcy przeszło głów. Jak jednakże ona rozdziela się na grupy co do stanowiska w w przedsiębiorstwie?

Liczono kobiet zarobkujących:

	Przemysł		Handel	
	1895 r.	1882 r.:	1895 r.	1882 r.
w grupie *a*	7,943	8,274	3,661	3,15[illegible]
„ *b*	[illegible]	40	140	6[illegible]
„ *c*	9,045	3,906	7,517	2,49[illegible]
	17,074	12,210	11,318	5,70[illegible]

Podobnie jak w Warszawie, słyszymy w Poznaniu wiele o „kwestyi kobiecej,“ o „potrzebie garnięcia się do handlu i przemysłu“; przyczem zwykle szanowne panie i panowie, rozprawiający w ten sposób, mają na oku — o ile chodzi o handel i przemysł — kobietę jako kierowniczkę i właścicielkę warsztatu i sklepu lub przynajmniej jako buchhalterkę wykwalifikowaną. Cyfry świadczą, że dotąd usiłowania w tym kierunku (o ile wogóle można tu mówić o usiłowaniach, a nie o gawędach salonowych tylko) nie miały skutku. Liczba kobiet-przedsiębiorczyń samodzielnych (grupa *a*) w przemyśle zmniejszyła się, w handlu wzrosła zaledwie o 500 głów; w grupie wykwalifikowanych pracownic pozostała niezmiernie małą, cały zaś przyrost nastąpił w grupie najemnic. W warstwach robotniczych, skąd rekrutuje się zastęp robotnic fabrycznych, szwaczek, sklepowych, nie rozprawiają o „emancypacyi,“ lecz pomimo to nieubłagany bieg życia rzuca kobietę tych sfer w wir walki ekonomicznej, zmusza ją do współzawodnictwa z mężem i bratem.

Poznawszy z tych cyfr podział ludności, zajętej w przemyśle i handlu oraz zmiany, jakie zaszły w składzie społeczeństwa, zobaczmy teraz, jak przedstawiają się stosunki przemysłowo-handlowe, jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy nie ludzi, lecz zakłady, warsztaty, fabryki, sklepy i przedsiębiorstwa. Odpowiedź dadzą nam cyfry spisu zakładów przemysłowych i handlowych (*gewerbliche Betriebszählung*). Wykaz ten dokonany został również jednocześnie ze spisem ludności według zawodów, w ten sposób, że każdy przedsiębiorca obowiązany był dostarczyć danych o swoim zakładzie (warsztacie, fabryce, sklepie itp.) co do rodzaju procederu, ilości robotników i motorów. Naliczono więc w Księztwie Poznańskiem przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych 72,840. Jednakże w tej liczbie mieszczą się także drobne warsztaty, kramiki itd., które nie są podstawą bytu dla właścicieli, lecz praca w nich jest dodatkowem tylko źródłem zarobku. Dla uproszczenia rachunku należy je wykluczyć z liczby ogólnej; wtedy pozostaje zakładów 64,457. Osób zatrudnionych w nich naliczono 173,138 *). Wypada zatem na jeden zakład przeciętnie 2,7 ludzi. Dla porównania podajemy cyfrę odnośną dla Westfalii — wynosi ona 4,4 ludzi na każdy zakład. Z tego już widzimy, że i te dane wykazują daleko mniejszą koncentracyę przemysłu i handlu w Księztwie. I rzeczywiście: naliczono 31,518 „zakładów przemysłowych i handlowych,“ w których pracuje tylko sam właściciel bez pomocnika i bez motoru; są to drobne warsztaty i kramy, których liczba wynosi, jak widzimy, połowę całkowitej. Jednakże fakt ten sam przez się nic nie mówi: w krajach wysoce rozwiniętych przemysłowo, w których koncentracya kapitału posunęła się już bardzo daleko, jak Westfalia i Saksonia, stosunek jest ten sam: tu również liczba drobnych warsztatów i kramów wynosi około połowy ogólnej liczby.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

*) W tej chwili doszły, nie wiadomo o ile pewne — wiadomości, że Kieszkowski ułaskawienia nie otrzy[illegible].

*) Cyfra ta nie zgadza się z tą, którą otrzymaliśmy dla ludności zarobkującej w przemyśle i handlu. Różnica objaśnia się w ten sposób, że przy spisie li[illegible] chwilowo zajęcie w swoim zawodzie, czy nie, przy spisie zaś zakładów rachowano tylko ilość ludzi rzeczywiście pracujących w tych zakładach.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Młoda starość.

We całem naszem życiu umysłowem było zawsze więcej artyzmu, niż wiedzy. Z wyjątkiem jednego Kopernika nie mieliśmy ani tylu, ani tak wielkich uczonych i filozofów, jak poetów, muzyków i malarzy. A gdyby z naszej literatury, należącej do najbogatszych, usunąć beletrystykę, spadłaby ona do najuboższych. Naturalnie, ten ciągle powtarzający się objaw musi mieć swoje źródło w duchowej istocie narodu, która zresztą odsłoniła się w innych kierunkach życia, wszędzie okazując przewagę wyobraźni nad rozumem. Ale nawet najsilniejsza i najbardziej rozwinięta zdolność ma okresy większego i mniejszego natężenia. Otóż zdaje mi się, że chwila obecna jest porą urodzaju talentów poetyckich. Ustawicznie występują na widownię coraz nowe i niezwykłe. Nawet Galicya, ta dziwnie bezpłodna kraina, roi się dziś młodymi poetami. Kto wie, czy oni nie są promieniami blasku, po którym wejdzie słońce.

O tym wszakże wzmożonym ruchu na naszym Parnasie świadczą nietylko jego przejawy widzialne, ale także niewidzialne. Równolegle z utworami wpływającymi do literatury toczy się szeroki i bystry potok niedrukowanych, który przepada w koszach redakcyjnych. Zarówno *Prawda*, jak i inne pisma dostrzegły w ostatnich czasach ogromny wylew twórczości poetyckiej. Dawniej śród kilkunastu artykułów prozaicznych zaledwie znalazł się jeden wiersz; teraz ciągle nadchodzą wiersze i wiersze. Rozumie się, są to w znacznej części roboty bądź całkiem nieudolne, bądź też wadliwe; ale ich masa świadczy o odpowiednim nastroju i silnym wytrysku pewnych uczuć. Nadto są między niemi liczniejsze, niż zwykle, poczwarki klujących się talentów. O dowodach grubych złudzeń, o wypracowaniach niedołężnych, o wybuchach chorobliwej pretensyonalności mówić nie będę, gdyż one są stałą przypadłością jednostek w każdem społeczeństwie, przemijają szybko i nie zasługują na baczniejszą uwagę. Drenami redakcyjnymi ta wilgoć gruntu literatury odsącza się, spływa i ginie. Inna sprawa z płodami rzeczywistych uzdolnień, czy one przedostają się za pośrednictwem druku na widok publiczny, czy też skutkiem swych częściowych usterek i surowych wymagań pozostają nieujawnione. W nich żyje jakaś siła, więc nad nimi zastanowić się warto.

Francuzi powiedzieli światu, że trzeba grzebać we własnej duszy, ażeby znaleźć perłę. Pochodzenie tej rady było dostatecznie przekonywającą jej siłą, więc zaczęto powszechnie i gwałtownie grzebać we własnych duszach. Jedni znaleźli w nich rzeczywiście klejnoty, ale drudzy wydobyli trochę błyszczącego piasku, starych szkiełek i badylowych nasion. Ten ostatni rezultat nie zniechęcił „górników swojego wnętrza," którzy dotąd w niem kopią. Czynią to szczególnie młodzi poeci drukowani, a zwłaszcza niedrukowani. Ich utwory są prawie wyłącznie lirykami, które czasem posiadają szczerość, wdzięk lub obrazowość, ale nadewszystko pretensyonalność. Wprzódy starają się zainteresować ogół swoją osobą, niż swojemi myślami i uczuciami. Jeżeli Słowacki mówi:

Duszo, śpij duszo moja, coś cierpiała tyle!
Śpij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
I po cóż się masz budzić na same cierpienia?

Jeżeli tak mówi Słowacki, to nas głęboko wzrusza, bo jest on wielkim człowiekiem, którego stan duchowy bardzo nas obchodzi. Ale wyobraźmy sobie, że to samo, literalnie to samo napisze w jednym z pierwszych swoich wierszy p. Iskrzycki —czy nas rozczuli? Bynajmniej. Ani on nas wogóle nie obchodzi, ani nie wiemy, na co się skarży. Te same słowa mogą być zarówno pustym frazesem i wyrażeniem bolesnego dramatu. Gdy Prometeusz woła: „cierpię!"—wstrząsa nami dreszcz współczucia; ale gdy tak zawoła gimnazista, któremu pensyonarka odmówiła tańca, serce nasze nie zmienia swego zwyczajnego rytmu. A młodzi poeci najczęściej usiłują nas przerazić takim krzykiem. Młodzieniec ledwie skończył szkoły lub nie skończył, rodzice usuwali mu z drogi wszystkie przeszkody, gra losu wypadała na jego korzyść, nie doznał jeszcze żadnych głębokich rozczarowań, nie przeszedł ciężkich doświadczeń, nie podarł sobie myśli na zagadkach wiedzy a uczucia na zawodach, zdrów, świeży, zadowolony pieszczoch przyjaznej doli zaczyna pewnego dnia pisać wiersze piołunowo-tragiczne, udaje Fausta, Manfreda, Rollę, w każdym sonecie zamyka grom na świat, ludzi, na byt cały. Artystycznie jest to poza, literacko pretensyonalność, chociażby nawet one objawiały się z pewnem talentem. To też gdy taki męczennik mówi:

Śpij duszo moja, coś cierpiała tyle!

my mu odpowiadamy (często przed wrzuceniem skargi do kosza redakcyjnego): A niech sobie śpi—wszystko nam jedno. Ci elegiści, „górnicy swojego wnętrza" ani się domyślają, jak są czasem zabawni i oto właśnie wtedy, kiedy chcą być najbardziej tragiczni. „Jam już wszystko przeżył — wszystko poznał i wszystko przecierpiał"— pisze jeden z nich, a w liście objaśnia: „Mam dopiero lat 17, pierwsza to moja próba poetycka..." Zaiste trudno o bardziej skrócony termin dla dojrzałości pesymizmu.

Lecz jeśli nawet tych lat jest więcej, niż 17 i jeżeli młoda dusza wcześnie i szybko wyssała z życia gorycz rozczarowań, musi ona nam wprzódy okazać swą wartość, zanim zażąda, ażebyśmy słuchali jej żalów. Najpośledniejszy filister miewa chwile rzeczywistego smutku, nieraz nawet umie go ładnie wypowiedzieć; czy jednakże przeniesiemy jego skargi do literatury? Więc nie przeczymy również, że najmłodsze serce może być istotnie zranionem; czy wszakże dla oglądania i gojenia tych ran ma być zaraz zwoływany cały świat? Czy umiejętność przelania łez w rymy daje im znaczenie wody święconej?

Zacny Stanisław Krzemiński powtarza często piękne zdanie: „są dusze, które się obracają około osi własnego interesu i są inne, które się obracają około słońca idei." Głębokie to spostrzeżenie powinien sobie wyryć w pamięci każdy działacz publiczny, każdy pisarz i również każdy poeta. Ruch około własnej jedynie osi, chociażby najsilniejszy, nie wyda nigdy ani wielkich czynów, ani wielkich utworów. Nie należy być murkiem własnego wnętrza i słowikiem własnego serca. Trzeba przenieść swą wiedzę i swoją miłość po za siebie. Barwny obraz, prawidłowy rytm i rym są to niewątpliwie bardzo ważne środki artystyczne, ale one jeszcze nie wyczerpują całej istoty poezyi, w której skład wchodzą inne jeszcze pierwiastki, a przedewszystkiem nie samolubne uczucia i przedmiotowe myśli. Młodzi zatem poeci powinni kończyć na tem, od czego dziś zaczynają: pokazać nam wprzódy świat odbity w ich duchu, a dopiero potem otworzyć swoje osobiste tajniki. Kogo na to nie stać, niech daremnie nie szarpie strun liry, bo z niej wydobędzie tylko same rozdźwięki. „Serce moje— dowodzi jeden z takich wieszczów — jest urną popiołów, w których tlą się gasnące iskry życia. Może wielkie wiatry je rozżarzą." Czy pragnęlibyśmy wywołać te iskry? Bynajmniej. Podobnie, gdyby nam oświadczył, że serce jego jest garnkiem surowych kartofli, które przy słabym ogniu nie mogą się ugotować, nie dorzucilibyśmy na komin drewien. Jeśli chce zyskać nasze spółczucie, niech nam poprostu powie, że jest człowiekiem nieszczęśliwym, wtedy okażemy mu miłosierdzie! Ale niech nie występuje jako poeta, który czarnoksięską laską frazeologii młodość zamienia na starość, wiarę na zwątpienie, głód życia na przesyt, a kołyskę na trumnę. Te szeregi młodych dusz bądź wypatroszonych z najgłębszych tajemnic, bądź wykrzywionych minami udanego bólu, sprawiają wrażenie odrażające. Pierwszym brak wstydu, a drugim szczerości. Żydzi mają jakieś święto, w które idą na brzeg wody i wytrząsają niby ze swej odzieży grzechy, właściwie zaś trochę pcheł. Podobnie młodzi poeci, którzy w osiemnastym lub dwudziestym roku życia wyrzucają ze swych piersi okropne bóle i klątwy, a właściwie zwinne frazesy.

Ani muzyka nie składa się z samych zgrzytów, ani rzeźba z samych potworów, ani malarstwo z samych brzydot; więc i poezya nie może być pasmem samych złorzeczeń. Nie może zaś i nie powinna ona być zwłaszcza żółcią serc i umysłów młodych. Jeżeli zaś w tej postaci z nich się wylewa, to świadczy o ich chorobie lub udawaniu. Trzeba więcej dbać o jej zdrowie i szczerość. Powtarzam: nie mówię tu o niedołęztwie, które zginąć musi, ale o tych rzeczywistych nowonarodzonych talentach, które jeszcze nie dojrzały, a już kłamią w sobie starość i w przedwczesnym, sztucznym uwiądzie napełniają groby koszów redakcyjnych. Szkoda ich, bo mogłyby się ładnie rozwinąć, gdyby ich muza nie zgniatała sobie głowy obyczajem Kamczadałów i nie ściskała swych stop drewnianymi trzewikami za przykładem Chinek.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

J. Stecki: *Zasady ogólne ekonomii społecznej.* Warszawa, str. 212.

Istnieją w ekonomii politycznej twierdzenia, co do których wszelki spór jest zbyteczny, są one bowiem wyrazem widnokręgów, właściwych pewnym grupom i interesom narodu. Natomiast, gdy trzeba scharakteryzować pewną pracę, warto je zaznaczyć, ponieważ odrazu wskazują, z jakim typem zapatrywań mamy do czynienia. *Ogólne zasady* p. Steckiego również posiadają taką przymieszkę, od której zresztą nie jest wolna żadna rozprawa z zakresu ekonomii politycznej. Pragnąłby on szczerze zwiększenia udziału przedstawicieli pracy w dorobku materyalnym i kulturalnym narodu, czego, według niego, można dopiąć przez rozwój drobnej własności ziemskiej i indywidualnego warsztatu rzemieślniczego wszędzie, gdzie na to pozwalają warunki produkcyi, przez zrzeszenie zaś współdzielcze tam, ilekroć w danej gałęzi zapanowały narzędzia, wymagające złączenia wielu pojedynczych wysiłków. „Ponieważ —czytamy w jego pracy — ludzkości i społeczeństwu musi chodzić nie o korzyść pojedynczych przedsiębiorców, lecz o obfitość środków do życia, produkowanych w rolnictwie, więc mniemać można, że rozwinie się i wzrastać będzie dążność do utrzymania drobnych gospodarstw rolnych, które dziś już nie dają się pokonać wielkim, skutkiem trudności zaprowadzenia w rolnictwie podziału pracy i, co za tem idzie, maszyn. Ideałem rolnictwa, (tj. autora, w sposób przedmiotowy wyrażonym), muszą być metody uprawy ogrodniczej." Autor skłania się do bimetalizmu, jak to wszędzie czynią żywioły ludowe drobnego mieszczaństwa; nie niema także przeciw protekcyonizmowi, stosowanemu „ostrożnie a oględnie." Mówiąc o kredycie i wogóle gdziekolwiek nadarzy się sposobność, p. Stecki, zamiast zaznaczenia klasowego stanowiska poszczególnych grup narodu, wprowadza zawsze całe „społeczeństwo," jak gdyby było ono pod względem ekonomicznym harmonijną całością. Słowem, w pracy jego występuje demokratyzm, właściwy warstwom ludu posiadającym.

Mielibyśmy do zarzucenia nieco samemu układowi książki, przedstawiającej zresztą, w naszem tak ubogiem piśmiennictwie popularnem w dziedzinie ekonomii, nabytek dość pożądany. Zamiast poświęcenia tyle miejsca kwestyom pieniężnym, wolelibyśmy widzieć bardziej wyczerpujące wytłomaczenia działalności banków, jako zbiorników kredytu krótkoterminowego i instytucyj, wciąż łatających niepunktualności, właściwe systemowi kredytowemu. Giełdy, te bezwiednie działające komitety statystyczne, regulujące obrót produktów przy pomocy tranzakcyj terminowych, doczekały się zbyt nieznacznego uwzględnienia w stosunku do swojej doniosłości. Tak samo znaczenie przemysłowe spółek akcyjnych, zwiększających ruchliwość i śmiałość kapitału, nie zostało należycie wyświetlone.

Winniśmy także zwrócić uwagę na definicyę terminu „kapitał" oraz na analizę czynników, rozstrzygających o wartości towarów.

„Człowiek potrzebuje do pracy innych jeszcze środków pomocniczych prócz narzędzi, innych jeszcze wytworów, zaoszczędzonych dla nowego wytwarzania. Takie wytwory zwiemy kapitałem i mówimy, że kapitał składa się z narzędzi, materyałów nabytych i z zapasów środków do życia, albo z sumy pieniężnej, za które można nabyć to wszystko."

P. Stecki określa więc kapitał, biorąc pod uwagę przedmioty, z których ta kategorya ekonomiczna się składa. Tymczasem do ekonomii wprowadzono inne określenie, uwzględniające *rolę historyczną* narzędzi, środków spożywczych i pieniędzy. Przedmioty te zawsze wchodzą do sprawy produkcyi dóbr materyalnych — we wszelkich epokach gospodarstwa. Istniały one i w gospodarstwie naturalistycznem włościanina wieków średnich i w gminie rolnej i zadrudze barbarzyńców, lecz nie były tam kapitałem. Stały się one nim dopiero z tą chwilą, w której zastosowano je nie do produkcyi dóbr spożywczych przeznaczonych dla zaspokojenia potrzeb samego wytwórcy lub jego pana (*oikos* grecki i dwór szlachecki), ale dla wytwarzania zysków dla zysków za pośrednictwem sprzedaży na rynku. Taka definicya, uważająca kapitał tylko za przyodziewek, przybrany przez na-

…ędzia pracy w pewnej epoce gospodar…wa narodowego i licujący z nazwą kapi…lizmu nadawaną naszej dobie, przedstawia pewne dodatnie strony. Określenie więc p. J. Steckiego, cofające nas do jałowych sporów i określeń ekonomii politycznej, mieszczańskiej, nie możemy w żaden sposób uważać za postęp. Z takiego zapoznania kapitału jako formy historycznej, przybranej przez narzędzia pracy w pewnej epoce, wypływa i podane przez p. J. Steckiego określenie kapitalistycznego przedsiębiorstwa, naszem zdaniem pozostawiające nieco do życzenia, mianowicie, iż jest to przedsiębiorstwo, „w którem stanowisko naczelne zajmuje kapitał, praca zaś jest najemną.“

Jeszcze więcej zarzutów postawić należy części, traktującej o czynnikach i naturze wartości. Nie chcemy narzucać p. J. Steckiemu naszych własnych poglądów na to zjawisko życia ekonomicznego, ale mamy prawo wymagać, ażeby liczył się z tem, co pisze, i nie podawał naprzód tego, co jest tylko grą wyrazów — niczem więcej, zwłaszcza w książeczce popularnej, której nie wolno grzeszyć najmniejszą niedokładnością, powtóre zaś uwzględnił pewne odróżnienia, wprowadzone przez ekonomię polityczną.

Co do niedokładności, przytoczymy miejsce bardziej charakterystyczne:

„Pod wpływem całkowitego zaofiarowania z jednej, całkowitego zapotrzebowania z drugiej strony ustala się na rynku pewna czasowa wartość. Może ona uledz zmianie wraz ze zmianą zaofiarowania i zapotrzebowania, lecz zawsze *wyrazem wartości będzie stosunek podaży do popytu.*“

Musimy zastrzedz się przeciw wszelkiemu pojęciu „czasowej wartości,“ cofającemu nas do sofizmatów Bastiata — wolelibyśmy „czasowe odchylenie“ wartości — co odróżnia czynniki, stwarzające wartość, od regulatorów rynkowych, wywierających wpływy drugorzędne, jak wpływy księżyca, wywołując przypływ i odpływ morza, nie określają, tylko czasowo burzą przeciętny, zasadniczy poziom morza. Ale błąd przytoczonego ustępu tkwi gdzieindziej. Według p. J. Steckiego „wyrazem wartości będzie stosunek podaży do zapotrzebowania.“ Doprawdy, nie pojmujemy tego zdania! Rozumiemy, iż „wartość czasowa“ może być przez szkoły mieszczańskie uważana za wyraz stosunku podaży do zapotrzebowania, ale odwrócenie tego twierdzenia jest pospolitym dziwolągiem. Tak samo liczba cali, pokazujących wysokość wody na Wiśle, jest wyrazem stosunków, właściwych jej poziomowi, ale nie te stosunki są wyrazem liczby cali. Nawiasowo zaznaczymy, iż w paru miejscach *Ogólnych zasad* spostrzegliśmy takie nieścisłości, ale nigdzie może nie są tak niepożądanemi i nawet szkodliwemi.

Co do wartości, jak wiadomo, ekonomiści toczą zażarte spory, choć może różnice w gruncie rzeczy nie są tak głębokie, jak pozornie by się zdawało. W sporze tym może chodzi nie tyle o zaprzeczenie temu lub innemu czynnikowi, ile o wyznaczenie ich wzajemnej roli i stosunku. Jedna z najkrytyczniejszych szkół, mianowicie Rikarda i jej nowoczesnych kontynuatorów, nadzwyczaj starannie odróżnia wartość użytkową od tak zwanej wymiennej i wykazuje, iż źródłem tej ostatniej jest praca ludzka, społeczno-przeciętna, przyczem w terminie „społeczna,“ prócz innych przymiotów, zawarte i ten, iż owa praca musi stwarzać produkty użytkowe, tj. potrzebne społeczeństwu. Ta miara wartości jest przecież nieuświadamianą przez społeczeństwo i dostarcza tylko klucza do zrozumienia praw podziału czystego dorobku społecznego praw, pod wpływem których dla produktów i rolnictwa cena stale jest niższą od owej teoretycznej wartości, dla fabrykatów zaś stale wyższą. Na to wpływy podziału działają jeszcze konkurencya rynkowa, względy użyteczności i inne, objęte w terminach podaży i popytu i nadają zboczenia czasowe. Takie pojmowanie naprzód klasyfikuje znaczenie różnych wpływów, powtóre zaś pokazuje, iż musimy bardzo umiejętnie wprowadzić pojęcie pracy społecznej, jeśli chcemy pozostać w zgodzie z nauką. Tymczasem pod tym względem u p. J. Steckiego panuje rzeczywisty zamęt, a raczej eklektyzm, mieszający pojęcia różnych kierunków, nawet poglądy przebrzmiałe z nieopracowanemi twierdzeniami ostatnich czasów. Posłuchajmy:

„Przyczyną wartości jest użyteczność... Niewątpliwie miarą wartości jest stopień użyteczności przedmiotów.“

„Miarą wartości jest też ilość pracy, niezbędnej do wytworzenia danego dobra... praca jest źródłem wartości.“

„Wartość jest pożądalnością dobra, jest stopniem ważności jego dla nas.“

„Zawsze wyrazem wartości będzie stosunek podaży do popytu.“

Może autor zdaje sobie sprawę z tej całości, bo my jej nie rozumiemy.

Naprzód użyteczność i praca są to rzeczy wielkości, jak rzekłby matematyk — nawzajem niezależne i *współcześnie* nie mogą być miarą trzeciej rzeczy, wartości, choć mogą być i jedna i druga jej czynnikami lub źródłami. Powtóre, praca, włożona w towar i mierząca wartość jego (według p. Steckiego z pewnemi ograniczeniami, bo przypuszcza on jeszcze wpływy użyteczności), nie znajduje się w najmniejszym stosunku z pożądalnością, a przeto musimy albo stanąć na gruncie, że praca stwarza wartość, na którą może oddziaływać pożądliwość, lecz sama nie jest pożądalnością, albo przyjmujemy teoryę pożądliwości i wtedy musimy odrzucić wszelkie miary, zaczerpnięte ze sfery pracy. Rozumiemy, o co chodzi w gruncie rzeczy autorowi, ale sposób sformułowania określeń jest tak wadliwy, iż musi wywołać zamęt w umyśle prostaczka, któremu popularna jego książeczka dostanie się do rąk.

Przykra rzecz, iż szpecą książkę takie niedokładności i sprzeczności. Są one nierzadkie: autor potrzebuje przykładu na podział pracy i daje przykład, świadczący o centralizacyi; powtarza twierdzenie o dziesięcioletnich paroksyzmach rynku, które należą już do przeszłości, w formie przebrzmiałej podaje utopię kredytu dla stowarzyszeń wytwórczych.

K. R. Ż.

HISTORYA.

Dzieje narodu polskiego, wykład popularny na podstawie ostatnich badań naukowych, z przedmową Władysława Smoleńskiego.

II.

Zanalizowawszy w ten sposób podział „Dziejów“ i wykrywszy tą drogą zasadniczy punkt wyjścia, tj. przemiany społeczno-prawne, nie potrzebuję już wiele więcej dodawać do scharakteryzowania metody historyozoficznej autora. Zważywszy tylko, że ustawy są wydawane dla rządzących i rządzonych, zrozumiemy tem samem, że metoda prawno-historyczna odzwierciedla zawsze w znacznie większym stopniu rozwój dziejowy mas ludowych, aniżeli polityczno-historyczna, która z konieczności jest przeważnie historyą warstw t. zw. wyższych, prowadzących politykę narodową. Jakoż w „Dziejach“ żądanie, ażeby historya obejmowała także „niższe“ warstwy społeczne, jest w znacznym stopniu uwzględnionem, w znaczniejszym, aniżeli u Bobrzyńskiego, który rozwój społeczno-prawny przystosowywa do tendencyi politycznej „silnego rządu“; inna rzecz, że przy przeniesieniu punktu ciężkości na ewolucyę gospodarczo-społeczną, historya anonima byłaby, zdaniem mojem, przybrała znamiona ewolucyi dziejowej wszystkich warstw społecznych w jeszcze obszerniejszym zakresie i znaczeniu.

Na tem kończę analizę metodologiczną „Dziejów“ i przechodzę do jej treści. Jestem w tem przyjemnem dla krytyka położeniu, że mogę z góry zaznaczyć, iż treść ta stoi zupełnie na wysokości współczesnego rozwoju wiedzy historycznej u nas: źródła, a raczej opracowania, z których autor korzystał, są wymienione przy końcu obu części książki. Nie są jednak wymienione wszystkie: czytając „Dzieje,“ widzimy, że ich autor korzystał z wielu opracowań pomniejszych, które zresztą do spisu „literatury historycznej“ nie włączył bez ujmy dla całości dzieła.

We wstępie do właściwej historyi polskiej, tj. w rozdziale p. t. „Słowiańszczyzna,“ kreśli autor pierwotne rozsiedlenie się plemion słowiańskich na wschodzie Europy — historyę powstania najważniejszych państw słowiańskich i zewnętrzne wpływy cywilizacyjne, zaznaczając przytem dwoistość tych wpływów: z Rzymu i Carogrodu. W kwestyach spornych jest autor co do Rusi zwolennikiem najsilniej źródłowo popartej teoryi normandzkiej, co do Polski zaś, odrzuca hipotezę najazdu i idąc w myśl większej części historyków, przyjmuje teoryę samodzielnego wytworzenia się państwa Piastów. Oba te zapatrywania autora przyjąłem oddawna także za swoje, dając im wyraz w ocenach Radzimińskiego i Rulikowskiego, Małeckiego, Piekosińskiego i Balzera. W tem także zgadzam się zupełnie z autorem, że, jak to powiedział Balzer, pierwotny ustrój plemion słowiańskich był komunistyczno-rodowym. Nie zgadzam się natomiast z teoryą, jakoby ludy aryjskie, a więc i Słowianie, „przybyły do Europy z Azyi, z płaskowzgórza Iranu.“ Niestety, teorya ta błąka się ciągle jeszcze po dziełach historycznych, jakkolwiek w etnologii t. zw. „kwestya aryjska“ zerwała już z Iranem i szuka ojczyzny praaryjskiej albo w dorzeczu Syr i Amu Daryi, albo nawet — jak np. dr. Fligier — na stepach nadczarnomorskich. Nie sądzę także, ażeby nazwy wsi patronimiczne, np. Dalechowice, Krzesławice itp. można było wobec najnowszych badań etnologicznych uważać za najstarsze: przeciwnie, znacznie więcej danych przemawia za tem, że najstarsze osady słowiańskie nosiły nazwy rodowo-totemiczne, np. Ćwieki, Koziegłowy, Barany itp. Ze stanowiska etnologicznego muszę także i tym razem stanowczo sprzeciwić się używanej stale przez autora nazwie „szczepy“: dzisiaj terminy naukowe dla grup społecznych ludów niepaństwowionych już się ustaliły, mianowicie „ród,“ „plemię“ (wyższych rodów) i „lud“ (federacya plemienna).

W rozdziale: „Kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego“ kreśli autor dzieje formowania się monarchii Piastów do śmierci Krzywoustego, zwracając zawsze uwagę na prawno-państwowy stosunek ówczesnej Polski do Niemiec i na organizacyę społeczno-prawną wewnętrzną. W pierwszej z tych kwestyj idzie autor śladem badań najnowszych, ale sprawy, odnoszące się do pierwotnej historyi Czerwonej Rusi, którą nazywa w myśl dawniejszych badań „Chrobacyą,“ nie są tak przedstawione, jak to najściślej dotychczas uczynił dr. Potkański w rozprawie „Kraków przed Piastami“ *). Według wyników tej rozprawy należy nazwę „Chrobacya“ zamienić na nazwę terytoryum plemienia Wiślan i nie można sądzić, jakoby kraj ten

*) Autor nie mógł korzystać z cytowanej pracy Piekosińskiego, która wyszła z druku (Kraków, 1897) [illegible] ścią „Dziejów.“ (*Przyp. Red.*).

należał do państwa Piastów przed podbojem Chrobrego, jakkolwiek zresztą łączył się z niem pod względem etnicznym. W organizacyi społeczno-prawnej najdawniejszej Polski podniósł autor słusznie wysoko znaczenie organizacyi grodowej, nie dowiódł jednak, dlaczego uważa chłopów, pełniących posługi grodowe, za „niewolników“ i także zbyt kategorycznie określa stan społeczno-prawny kmieci wolnych, o których istnienie nie ukończył się jeszcze spór między historykami.

Nie zwrócił także autor uwagi na „Genealogię Piastów“ Balzera, bo w przeciwnym razie nie byłby mógł nazwać czasu po śmierci Mieszka II do wstąpienia na tron Kazimierza I „bezkrólewiem,“ tylko rządami Bolesława, starszego syna Mieszka. Brak także uwzględnienia ważnej dla ówczesnych stosunków gospodarczo-społecznych walki kleru krajowego z napływowym (Gumplowicz), natomiast bardzo trafnie podniósł autor przyczyny ekonomiczne, które wpłynęły na pierwsze nadanie Piastów — dóbr ziemskich dla kleru i szlachty, a więc pośrednio i na pierwszy wyłom w organizacyi ustroju społecznego grodowego. Okres Polski w podziałach, zwany w „Dziejach“ okresem „upadku władzy monarchicznej,“ jest ze stanowiska społeczno-prawnego prawie bez zarzutu przedstawiony: autor zwraca także zawsze uwagę na rozwój ekonomiczny, ale w tym względzie nie podniósł wcale gospodarczego wpływu, wywieranego przez klasztory, za mało określił reformę ekonomiczną, dokonaną przez kolonizacyę na prawie niemieckiem, natomiast w dostatecznej mierze wykazał, jak z terytoryów gospodarczych grody traciły coraz silniej dawną władzę nad chłopami na rzecz prywatnych posiadaczów dóbr ziemskich.

W rozdziale: „Kształtowanie się rzeczypospolitej szlacheckiej“ zwrócił autor główną uwagę na tendencyę społeczno-prawną w kierunku wzrostu samowładzy szlacheckiej, natomiast mniej — jak to już w analizie metodologicznej powiedziałem — mówi o tendencyi ku ukształtowaniu się Polski stanowej ze współudziałem miast. Najwybitniej występowała ta tendencya za panowania Kazimierza W., który, jak słusznie zaznaczył Bobrzyński, był już na najlepszej drodze do zorganizowania zgromadzeń stanowych nietylko z współudziałem miast, ale nawet chłopów, osadzonych w domenach na prawie niemieckiem. Za małe uwzględnienie tej gospodarczo-społecznej i prawnej także tendencyi nie pozwoliło autorowi ocenić należycie „wielkości“ króla Kazimierza i tego nagłego, można powiedzieć, przełomu społecznego, jakiego doznała tworząca się Polska stanowa pod wpływem jednostronnie szlacheckiego aktu koszyckiego króla Ludwika. Od tej dopiero chwili zaczyna przeważać tendencya ku „kształtowaniu rzeczypospolitej szlacheckiej,“ jakkolwiek zresztą wśród walki szlachty z możnowładcami za pierwszych Jagiellonów zdarzały się jeszcze wypadki wciągania miast w ten wir społeczny — np. Lwowa. Stanowcze zwycięstwo tendencyi szlacheckiej, pogodzonej już do pewnego stopnia z możnowładztwem, znamionuje dopiero statut piotrkowski Jana Alberta, zwrócony wyraźnie przeciw miastom i chłopom. Z tych przyczyn nazywam tę epokę „okresem Polski stanowej,“ w której tendencya ku „kształtowaniu się rzeczypospolitej szlacheckiej“ wzrasta stopniowo dopiero od chwili ukazania się aktu koszyckiego, zwycięża za panowania Albrechta i zwycięztwo swoje uwieńcza parlamentem szlacheckim w myśl ustawy „nihil novi“ z r. 1505. Autor zamknąwszy obie wskazane powyżej dążności ewolucyi społecznej w ramach jednego okresu, przeniósł całą baczność tylko na tendencyę drugą i dlatego czasy po wydaniu aktu koszyckiego są w „Dziejach“ o wiele ściślej i nawet barwniej opracowane, aniżeli koniec wieku XIII i pierwsza połowa XIV. Naodwrót granicę okresu, nazwanego przez autora „rządami stanów rzeczypospolitej,“ mógł śmiało przenieść co do Polski na chwilę dziejową wydania ustawy „nihil novi“; w tem jednak jeszcze zasadniczego błędu niema ze względu na to, że „rządy stanów, tj. szlachty rzeczypospolitej“ utrwaliły się na Litwie i Rusi dopiero po unii lubelskiej. Gdy jednak autor rozpoczyna je datować dopiero od śmierci Batorego, to sądzę, że taki punkt widzenia z własnego, społeczno-prawnego stanowiska autora, obronić się nie da. Chyba jeśli ustanowienie trybunałów koronnych za Batorego, ów w istocie rzeczy dodatek tylko „do rządów stanów rzeczypospolitej“ zechcemy uważać za fakt równie ważny, jak ustawę „nihil novi“ i akt unii lubelskiej.

W najczystszy sposób wprowadził autor swą metodę prawno-historyczną do rozdziału p. t. „Organizacya rzeczypospolitej szlacheckiej.“ Jest to też najściślej, najprzystępniej i zarazem najbarwniej opracowana część „Dziejów.“ Tutaj dał autor czytelnikom więcej, aniżeli dać chciał, bo nietylko „przygotował do czytania monografij historycznych,“ ale przedstawił jasny obraz społeczno-prawny urządzeń b. rzeczypospolitej szlacheckiej taki, że z monografij mało więcej dowiedzieć się można. Dostrzegłem jednak drobną omyłkę. Oto Ruś Czerwona nie składała się z „ziemi lwowskiej, halickiej, chełmskiej i województwa bełzkiego,“ lecz z ziem: przemyskiej, sanockiej, lwowskiej i halickiej, rozdzielonej na kołomyjską i trębowelską, a ziemia chełmska i województwo bełzkie do Rusi Czerwonej nie wliczały się wcale. Przedstawiwszy w „Organizacyi rzeczypospolitej szlacheckiej“ dokładny obraz t. zw. „wewnętrznych“ urządzeń „rzeczypospolitej szlacheckiej,“ mógł autor w rozdziale p. t. „Rządy stanów rzeczypospolitej“ przelać całą uwagę na stosunki dyplomatyczne, politykę zewnętrzną i wewnętrzną szlachty polskiej i na rosnącą anarchię sejmikową. Taki układ stylistyczny obu rozdziałów, odnoszących się do t. zw. Polski upadającej, okazuje się w „Dziejach“ korzystnym także z tego względu, że pozwolił autorowi w najbardziej odpowiedni sposób przedstawić „próby reform i upadek rzeczypospolitej w okresie pierwszym części drugiej. „Próby reform“ nawiązuje autor do „organizacyi rzeczypospolitej szlacheckiej,“ nadając im tem samem wybitne znamię reform, pojmowanych przedewszystkiem z punktu widzenia historyka - prawnika. Gospodarczo-społeczna ich strona schodzi w takiem przedstawieniu rzeczy na drugi plan, wobec czego możliwem było dla autora przedstawić czasy po r. 1795 jako okres jeden tylko. W szczegóły tego przedstawienia zapuszczać się byłoby, ze względu na ramy, zakreślone mojej ocenie, rzeczą za daleko posuniętą.

Czyż więc autor „Dziejów narodu polskiego“ osiągnął cel swej pracy? Na to po przeprowadzeniu analizy krytycznej — nawet odpowiedzi już nie potrzeba; chyba przypomnieć, że mimo wszystkich podniesionych w analizie tej usterek, autor cel swój osiągnął z nadwyżką w kierunku zaznajomienia czytelników z „organizacyą rzeczypospolitej szlacheckiej“ w sposób monograficzny.

Dr. Kazimierz J. Gorzycki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Emma Jeleńska (Dmochowska): *Panienka*, powieść, nagrodzona na konkursie *Kuryera Codziennego*. Tom I. str. 264, tom II. str. 290 Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1899.

W warunkach konkursu, ogłoszonego w roku 1[illegible] przez *Kuryer Codzienny* na „jednotomową powieść społeczno-obyczajową współczesną,“ znajdowały się zastrzeżenia, które niewątpliwie zniechęciły do udziału w tym turnieju literackim pewną liczbę talentów niezależnych i szczerych, nie lubiących patrzeć na objawy życia przez mniej lub więcej zabarwione szkiełka, ani przystrajać rzeczywistości w spłowiałe szaty szablonu i konwenansu. Oto nagroda miała być ostatecznie przysądzona przez ogólne głosowanie prenumeratorów *Kuryera*, a powieść, zakwalifikowana przez sędziów do ubiegania się o palmę pierwszeństwa, należeć miała koniecznie do kategoryi utworów, mogących się znaleźć „na stole każdego domu polskiego.“

Głosowania powszechnego zrzeczono się z czasem na rzecz pośpiechu i innych względów technicznych, pozostał jednak warunek drugi, wyrażony zbyt ogólnikowo, budzący niepożądane w konkursach wątpliwości i nieporozumienia. On to zapewne przyczynił się w pewnej mierze do tego, że, mimo wysokiej stosunkowo nagrody i zaproszenia do udziału w konkursie wszystkich naszych powieściopisarzy, żaden z autorów „uznanych i doświadczonych,“ o których mówiła odezwa, nie pokusił się o laur konkursowy, który, razem z dziesięcioma owijającemi go tęczówkami, przypadł i tym razem w udziale jednemu z „nowych i nieśmiałych jeszcze talentów,“ że w dalszym ciągu użyjemy terminologii inicyatorów konkursu.

Że był to talent niewieści, to już nie powinno stanowić niespodzianki dla żadnego z bystrych badaczów piśmiennictwa, którzy spostrzegli zapewne, iż konkursy powieściowe od początku samego mają u nas szczęście do autorek, czy może autorki do konkursów. Niespodzianką natomiast są dwa tomy nagrodzonej powieści, gdy warunki konkursu mówiły wyraźnie o jednym, lecz że i pojęcie tomu uważać można za równie względne i rozciągłe, jak owego stołu polskiego, który tu odegrał taką wybitną rolę, więc i pod tym względem nietrudno dojść do wzajemnego porozumienia. Idzie o wynik konkursu, o jego znaczenie dla naszej beletrystyki bieżącej, to zaś, po zawarciu bliższej znajomości z „Panienką“ p. Emmy Jeleńskiej, uważamy w każdym razie za dodatnie.

Utwór, nagrodzony przez sędziów konkursowych *Kuryera*, nie jest, naturalnie, arcydziełem, bo wogóle drogą konkursów do arcydzieł nie dochodzimy jakoś, a w danym razie było nawet mniej, niż zwykle, warunków po temu, aby zabłysnąć mogły. Jest on jednak, mówiąc najogólniej i nie bez zastrzeżeń, które znajdą się niżej, wybiegającą po za miarę szarej przeciętności powieścią współczesną, ożywioną szlachetną, chociaż nienową w beletrystyce naszej, myślą przewodnią. Że zaś przytem powieść ta napisana została przez pióro świeże, początkujące, które w otrzymanem odznaczeniu znajdzie może zachętę i pobudkę do dalszej pracy twórczej, więc i właściwy cel konkursu uważać można za osiągnięty i przystąpić do bliższej analizy krytycznej wyróżnionego utworu.

Zestawienie dwóch różnych dążeń, dwóch prądów, dwóch światów, z których jeden, nie chcąc słyszeć o celach ogólnych, goni wyłącznie lub głównie za marą szczęścia osobistego, drugi zaś, opromieniony blaskiem, bijącym od gwiazd idei, żyje miłością, która „nie na jednym spoczęła człowieku, jak owad na róży kwiecie,“ jest oddawna jednym z najwdzięczniejszych wątków dla powieściopisarza, który zdołał wydobyć się szczęśliwie z błędnego koła erotyzmu i objąć wzrokiem szerszy widnokrąg rzeczywistości. Na tym właśnie zasadniczym motywie osnuta jest również treść „Panienki,“ będąca chwilami jakby echem niektórych nowszych powieści Elizy Orzeszkowej, a zwłaszcza „Dwóch biegunów“ i „Australczyka.“ Niema tu mowy o świadomem naśladownictwie autorki „Nad Niemnem,“ jest jednak niewątpliwie przejęcie się temi jej dążeniami społecznemi, które w dwóch wymienionych przed chwilą powieściach znalazły wyraz najlepszy, jest pewna od niej zależność.

Wpływ Orzeszkowej widoczny jest nietylko w idei przewodniej utworu, dającej się streścić w paru wyrazach — utrzymania w całości gniazda rodzinnego. Sięga on dalej jeszcze, dotykając samej osnowy i nawet charakterystyki pojedynczych postaci. W „Panience,“ podobnie jak w „Dwóch biegunach“ i „Australczyku,“ główny bohater powieści występuje w niezbyt korzystnej roli przedstawiciela dążeń egoistycznych i karyerowiczowskich, główna bohaterka reprezentuje świat porywów szlachetnych, idealnych. Jadwiga Wielogrodzka z „Panienki“ — to rodzona siostra Ireny z Australczyka i Seweryny z „Dwóch biegunów,“ może tylko pod pewnymi względami mniej od tamtych głęboka i naturalna. W Leonie Kańskim p. Jeleńskiej łatwo odnaleźć cechy pokrewieństwa z Romanem Darnowskim lub Zdzisławem Gronowskim Orzeszkowej, co zresztą nie przeszkadza każdej z tych postaci posiadać pewnych rysów indywidualnych i cieszyć się w pewnym zakresie bytem samodzielnym, odrębnym.

Szkoda tylko, że pod względem artyzmu wykonania „Panienka“ stoi znacznie niżej od takich np. „Dwóch biegunów.“ Dosyć chociażby porównać zakończenie obu utworów, aby przekonać się o tem. W powieści Orzeszkowej konieczność rozstania Zdzisława z Seweryną, wskazującą mu cele, „przewyższające jego siły, chociaż nie przewyższające pojęcia,“ jest od początku wymotywowana wybornie. Od pierwszego niemal spotkania się tych dwojga osób, w salonie zalotnej kuzynki Idalii, widzimy, że należą one do dwóch odrębnych światów, że jak dwie planety z różnych konstelacyj, krążą po orbitach, które się zetknąć nie mogą. Widzimy to, czujemy, i dlatego zakończenie samo nie razi nas fałszem najmniejszym. Odczuwamy całą nieubłaganą moc tragizmu, ciążącego niekiedy nad życiem ludzkiem, poddajemy się tchnieniu tej melancholii bezbrzeżnej, która wionie ku nam z ostatnich stronic książki.

Inaczej w „Panience.“ Rozstanie Leona z Jadwigą nie ma tu wcale cech konieczności, wydaje się raczej efektem sztucznym, naciągniętym, więc też ostatnie sceny powieści, chociaż smutne, chwilami nawet rozrzewniające, pozostawiają w ostatecznym rezultacie wrażenie pewnego niezadowolenia czy niesmaku. Rozumiemy, że Leon nie chce poprzestać na suchym kawałku chleba, który mu zapewnia małomiasteczkowa praktyka lekarska, zgadzamy się na to, że mu do szczęścia potrzeba „pasztetu“ w szlachetnej dosyć formie asystentury przy wuju-profesorze. Rozumiemy jeszcze lepiej szczytne dążenia Jadwigi do utrzymania zagrożonej całości rodzinnego gniazda, do pokierowania wychowaniem młodego brata, aby się nie stał podobnym do eleganckiego gwardzisty Gucia, którego postępowanie całe, uwieńczone świetnem, z punktu widzenia przyszłej karyery, małżeństwem z panną Olgą Szuldner, wpędza do grobu uwielbiającą go matkę i wytwarza smutny rozdźwięk w rodzinie.

Wszystko to jest prawdopodobnem, możliwem i naturalnem, wszystko to jednak nie usprawiedliwia bynajmniej bezpowrotnego zorwania Jadwigi z Leonem i zaparcia się szczęścia osobistego. Odłożenie o rok jeden małżeństwa z młodym lekarzem wystarczyłoby napewno do uregulowania interesów Hrabowa i wyszukania kogoś, odpowiedniejszego nawet od energicznej „panienki,“ do prowadzenia w dalszym ciągu gospodarstwa, aż do ukończenia nauk przez Tadzia, którego wychowanie i w wielkiem mieście iśćby mogło pod okiem Jadwigi w pożądanym przez nią kierunku.

Zakończenie takie wydało się jednak autorce zbyt pospolitem, czy za mało dramatycznem, poświęciła więc prawdę psychologiczną dla płynącej może z głębi serca, ale melodramatycznej nieco deklamacyi: „Niech już lepiej cierpię, niech już lepiej nie zaznam tego szczęścia, co mi się uśmiechnęło przez chwilę, ale niech mam czyste sumienie, że zrobiłam, co mogłam, dla tej biednej ziemi, że nie przelękłam się złej doli i że broniłam jej do ostatka. Nie, ja nie mogę jej opuścić“ itp.

I wogóle, rzecz dziwna: kiedy psychologia mężczyzny, Leona, jest wogóle zupełnie poprawna, a rozwój w jego sercu miłości względem Jadwigi od początku do końca przeprowadzony został z konsekwencyą, którejby się nie powstydził doświadczony i wytrawny powieściopisarz, przy odtwarzaniu strony psychicznej głównej bohaterki autorka nie zdołała uniknąć paru ryzykownych skoków, odbijających się niekorzystnie na całej treści utworu.

Nie chodzi nam tu nawet o pojedyncze jej odezwanie się, tchnące jakąś dziwną naiwnością, jak np. tam, gdzie mówi do Leona: „Nawet przez jakiś czas wahałam się i zadawałam sobie pytanie: czy Pan Bóg nie wymaga ode mnie tej ofiary (zamąż-pójścia bez miłości) dla dobra mojej rodziny? Ale potem *zmiarkowałam*, że nie, więc odmówiłam.“ Na takie niezręczności dyalogowe możnaby ostatecznie nie zwracać uwagi, bardziej rażącem wydaje się nie prawdopodobnie długotrwała niedomyślność serca Jadwigi wobec wszystkich zabiegów Leona, w połączeniu z owem bezwiednem roztwarciem się ramion na jego widok nad morzem, lub owo sztuczne odwracanie rozmowy od przyszłości, ulubionego tematu zakochanych, przez co właściwy stosunek ich jakby umyślnie nie został wyjaśniony należycie, albo wreszcie całe postępowanie Jadwigi z Leonem po śmierci pani Wielogrodzkiej.

Że autorka nie rachuje się niekiedy ze szczegółami, które jednak, gdy chodzi w utworze beletrystycznym o niezbędne dla czytelnika poczucie prawdopodobieństwa, odgrywają często rolę pierwszorzędną, świadczy chociażby rozmowa Leona z wujem w pierwszym zaraz rozdziale powieści, gdzie doświadczony lekarz i profesor uniwersytetu namawia młodzieńca, który tylko co ukończył studya lekarskie, aby na lat parę pojechał na wieś dla nabycia umiejętności samodzielnego leczenia, „na własną odpowiedzialność.“ Nie trzeba być chyba profesorem w akademii medycznej, aby wiedzieć, że młodemu lekarzowi niezbędna jest przedewszystkiem praktyka przy szpitalu lub klinice, bez czego będzie on co najwyżej samodzielnie wysyłał swych pacyentów na tamten świat, na co najżyczliwszy wujaszek nie chciałby chyba narażać swego siostrzeńca.

Lecz obok tych usterek i błędów, których w znacznej części przy pewnem doświadczeniu powieściopisarskiem z łatwością uniknąćby można, obok rozwlekłości, będącej, jak się zdaje, wadą, wspólną wszystkim naszym piórom kobiecym, widzimy w utworze p. Emmy Jeleńskiej i pierwszorzędne zalety, usprawiedliwiające w znacznej mierze wyrok sądu konkursowego. Na niektóre z nich zwróciliśmy już mimochodem uwagę, tu jeszcze zaznaczymy dobrze podmalowane tło utworu, występujące w szeregu barwnych opisów przyrody poleskiej, tamtejszych wiosek i miasteczek, zwyczajów i ludzi, a dalej wiele dobrych sylwetek drugo- i trzeciorzędnych postaci, jak typowe otoczenie hrabowskie Jadwigi, młodziutki jej brat Tadzio, wzruszający swem przywiązaniem do siostry, i sztywny, elegancki, a zimny Gucio, obaj utrzymani przez cały czas w tonie właściwym, wreszcie uczony stryj Onufry, poczciwa z kościami ciocia Basia, wujostwo Swioża, lub sympatyczna para, złożona z poważnego studenta Jarońskiego i jego narzeczonej Koci, i innych wiele. Wszystko to porusza się, żyje, ma jakąś rolę w całości i wywiązuje się z niej dobrze.

Na osobne zaznaczenie zasługuje traktowana przez autorkę z ironią subtelną, a wyborna w każdym szczególe postać pani Wielogrodzkiej, która sama przez się pochlebnie świadczyćby mogła o zmyśle spostrzegawczym powieściopisarki. Wielka dama w każdym calu, wytworna, piękna, mimo choroby, która ją do łóżka przykuwa, czas spędza bezustannie na lekturze pobożnej lub robieniu ubrań włóczkowych dla biednych dzieci z ochronki... sióstr de l'Assomption w Paryżu. Była zawsze ozdobą, upiększeniem, klejnotem drogocennym, dla którego nie było dość pięknej oprawy, dość wytwornego tła, i w tej roli pozostała do końca, powtarzając przy każdej sposobności, że musi to nieszczęsne życie podtrzymywać „nie dla siebie, ale dla tych biednych dzieci,“ bo cóżby się z niemi stało, gdyby jej zabrakło...

Na zakończenie wreszcie wspomnieć chociaż należy o poprawnym, a w wielu miejscach barwnym i poetycznym języku i stylu autorki, o ładnych opisach wiosny w pierwszym tomie, o wielu pojedynczych obrazach i scenach, zasługujących z tego lub innego względu na uwagę, jak np. ów zachód słońca przy końcu drugiego tomu, w którego złotych blaskach widniał zdala dwór ze strzelającemi w górę topolami, rozsiadły szeroko na brzegu rzeki, skupiający wkoło siebie liczne domeczki i zabudowania, i biała kaplica, której krzyż błyszczał teraz i mienił się barwami zachodu. „I zdawało się, że ten dwór stary i ta kaplica, to jakaś twierdza warowna, jakaś wysunięta na dalekiej granicy placówka, a że te wysmukłe topole, to jacyś rycerze niezłomni. I zdawało się, że nad tą twierdzą unoszą się w cichym zmroku duchy tych, co swojego czasu śmierci urągali.“

Te i tym podobne ustępy nadają podniosły nastrój całemu utworowi p. Jeleńskiej, świadcząc wymownie, że młoda autorka uważa słusznie pracę na niwie literackiej za pewnego rodzaju kapłaństwo.

Władysław Bukowiński.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Antoni Kątski.

Na przedostatnim wieczorze Towarzystwa muzycznego dał się słyszeć fortepianista i kompozytor, p. Antoni Kątski, urodzony w r. 1817 w Krakowie, którego utwór p. t. „Przebudzenie się lwa“ popularyzowany był w swoim czasie przez wszystkie niemal orkiestry wojskowe.

Gra i kompozycya p. A. Kątskiego — że tak powiem — miała obieg po Europie prawie całe bieżące stulecie. Zobaczmy zatem, w jakiem obecnie stadyum rozwoju znajdują się jego utwory, jego repertuar

koncertowy, a także i jego technika fortepianowa.

Był to czas, kiedy Haydn, Mozart i Beethoven mieli jakby dalszych następców w rozwoju form klasycznych ekspresyi, harmonii i napiętnowania kompozycyi cechą, właściwą każdej narodowości. Obok tego druga szkoła brnęła — niemal wyłącznie— w blasku sztuczek wirtuozowskich, lub też znamionowała cechę uciech zmysłowych niższego rzędu.

Głównem siedliskiem tej banalnej, a niekiedy i nieszlachetnej muzyki był Paryż. Tam różnego rodzaju sztuka mogła przynajmniej przez pewien czas znaleźć szerokie ujście; tam i wirtuozowie-fortepianiści mogli błyszczeć i grą swoją i swemi kompozycyami, mającemi z czasem coraz więcej przymieszki muzyki tanecznej — baletowej, o nastroju naturalnie może nieraz dowcipnym, ale dogadzającym przeważnie lekkomyślnym namiętnościom ludzkim; teraz jeszcze tu i owdzie taka muzyka znajduje zapewne już niewielu „poważnych protektorów.“

Na p. Kątskiego, jako na fortepianistę i kompozytora, ów zły kierunek pełen blasku, czczych myśli i swawolnej pustoty, miał wpływ niemały. Znać to nawet nietylko w kompozycyi jego „Les ésprits des neiges,“ wykonanej na wieczorze Tow. muzycznego, lecz także i w innych, bardzo licznych utworach. Gra jego posiada te same cechy: lekka, wesoła, dowcipna, ale czasem i płytka (Chopin).

Co do repertuaru koncertowego, jaki mieliśmy sposobność słyszeć, ten przedstawia się bez porównania korzystniej.

Znajdujemy w nim, co prawda, tylko najbardziej niegdyś popularne, lecz zarazem i piękne utwory całkowite lub też wyjątki z większych dzieł Haendla, Bacha, Haydna, Mozarta, Beethovena, Chopina, Brahms'a i innych.

Najciekawszą jednak jest gra fortepianowa tego wysłużonego artysty. W takim głębokim wieku posiadać jeszcze tyle siły i techniki, żeby módz — chociażby nawet z pewnemi usterkami technicznemi, albo interpretacyjnemi — odegrać takie sztuki, jak np. „Perpetuum mobile“ Webera lub „Scherzo b-mol“ Chopina, to już stanowi objaw niezwykły. Ta też tylko strona artysty najbardziej zaciekawiła licznie zebraną publiczność w salach Redutowych.

Przy sposobności zaznaczę, że niektórzy, chcąc imponować niby wszechstronną znajomością naszych stosunków społecznych, mówią, iż p. Kątski jest synem organisty, a zapominają o tem, jak łatwo mogą się narazić na śmieszność. Rodzina czterech braci Kątskich, jako muzyków, jest bardzo znaną, a ojciec ich — także muzykalny — był urzędnikiem sądowym w Krakowie, a następnie inspektorem liceum w Warszawie.

Ig. Pilecki.

SPRAWY EKONOMICZNE

SYBERYA WSPÓŁCZESNA.*)

Ostatnimi laty Syberya stała się przedmiotem uwagi świata kulturalnego i cywilizacyi. Niedawno jeszcze niedostępne, tajemnicze, rozległe obszary ziemi surowej lecz bogatej, obecnie doczekały się studyów i badań, zamkniętych w dziełach naukowych, pisanych nietylko przez Rosyan i Polaków, lecz nawet przez cudzoziemców. Kolej Trans-Syberyjska podniosła jeszcze bardziej uwagę powszechną oraz wywołała najróżnorodniejsze wróżby i plany polityczne i ekonomiczne.

Obecnie mamy pod ręką dziełko p. W. Studnickiego, które jakkolwiek nie jest całkowicie owocem badań samodzielnych, zawiera jednakże mnóstwo ciekawych i cennych wskazówek i informacyi, związanych tu i owdzie osobistemi spostrzeżeniami autora.

„Przez długi czas Syberya nosiła niemal wyłącznie charakter kolonii karnej Rosyi europejskiej i była jakby jej naturalnem olbrzymiem więzieniem. Niezmierzone przestrzenie jakby ściany więzienne pozbawiały wygnańca nadziei i możności ujrzenia kiedykolwiek—kraju rodzinnego. Imię Syberyi wzbudziło grozę, gdyż kojarzyło się niekiedy ze wspomnieniem wysłanego tam daleko ojca lub brata.“

Dziś warunki się zamieniły i oto kraj, wzbudzający niegdyś postrach i grozę zaczyna dziś nęcić zarówno ludzi ucywilizowanych, jak i ciemnych; chociaż z drugiej strony nie daje spać spokojnie wytwórcom i przedsiębiorcom, w obrębie granic Rosyi europejskiej, jak nie mniej w państwach ościennych. Dla nas Syberya pod wielu względami ma doniosłe znaczenie, więc i dziełko p. Studnickiego nabiera pewnej wagi.

„Wkrótce całą Syberyę przetnie kolej żelazna najdłuższa z istniejących dotąd na kuli ziemskiej. Przyszłe koleje państwa niebieskiego będą na pewno połączone z Syberyjską. Najbliższy trakt z Pekinu do Paryża przechodzić będzie przez Sybir. Kolej Syberyjska wespół z europejskiemi połączy brzegi Atlantyku i Oceanu Wielkiego.“ Ten drugi stanie się wkrótce nowem Morzem Śródziemnem. Pod względem ekonomicznym łączy on coraz bardziej Azyę z Ameryką. Już obecnie Syberya prowadzi handel zewnętrzny na wybrzeżach Oceanu Wielkiego. Eksploatatorowie złota z nad Amuru, osadnicy rosyjscy, używają maszyn i narzędzi amerykańskich. Czukcze, lud Azyi północno-wschodniej, znajdujący się w okresie barbarzyństwa, prowadzi handel zamienny z Ameryką. Z narodów europejskich Niemcy, dzięki czynności swoich firm w Nikołajewsku i Władywostoku, mają przewagę w handlu przywozowym Syberyi. Wielka Brytania wysyła tkaniny bawełniane i wełniane, żelazo i miedź. Szkło z Belgii, konserwy i wyroby modne z Francyi idą przez Ocean Wielki do wybrzeży wschodnich Syberyi. Rosya europejska wysyła morzem i oceanem tanie wyroby rękodzielnicze, tytoń, spirytus i cukier do swych wschodnich krańców azyatyckich.

Obecnie wielką jeszcze przeszkodę w stosunkach handlowych stanowi brak dogodnej komunikacyi morskiej na północy. Zbadanie wszakże wybrzeży północnych pod względem meteorologicznym tudzież kierunku wiatrów na morzu Karskiem, znacznie ułatwi żeglugę, która utrudniona jest obecnie z powodów następujących: 1) Niema jeszcze dokładnych map (błędy do 30 mil). 2) Na jednostajnych brzegach Jałmana i wyspy Białej nie wybudowano żadnych znaków, ułatwiających oryentowanie się. 3) Niema stacyj ratunkowych z zapasami opału, strawy i odzieży ciepłej. 4) Niema telegrafu z Archangielska do Szaru Jugorskiego i od Jenisejska do ujścia Jeniseju, co pozwoliłoby sądzić o stanie lodów na morzu Karskiem. Ale nawet po usunięciu tych wszystkich trudności, koszty żeglugi północnej zawsze będą dość znaczne. Właściciele statków przed paru laty chcieli za pieniądze, które skarb wydaje na przewóz poczty, zobowiązać się do stworzenia stałej komunikacyi z Północą; ale projekt ich podobno dotąd nie uzyskał uznania władzy. Kolej Syberyjska, zbyt odległa od Tobolska, głównego miejsca przemysłu rybnego, nie przyczynia się do polepszenia warunków tej produkcyi na północy gub. Tobolskiej. Dla jej podniesienia należałoby przedłużyć linię Permsko-Tiumeńską do Tobolska.

Pomijamy wewnętrzne stosunki syberyjskie, które w danej chwili mniej nas obchodzą; natomiast przechodzimy do wpływu Syberyi na życie ekonomiczne daleko po za jej granicami. Kolej Trans-Syberyjska budzi wszędzie nadzieje. Przemysłowcy, aferzyści różnych krajów sądzą, że ta arterya da nowy żer dla nasycenia ich apetytu. Sybiracy zaś przypuszczają, że kolej ta przyczyni się do rozwoju przemysłu na Syberyi, stworzy wielkie ogniska i rynki wewnętrzne, ułatwi wysyłanie produktów miejscowych do Europy. Na zbyt produktów rolnych Syberyi Wschodniej kolej ta, jak utrzymuje p. Studnicki, może wywrzeć tylko wpływ pośredni. Koszty przewozu zboża na przestrzeni kilku tysięcy wiorst, nawet przy największych ulgach taryfowych, są zbyt wysokie. Okręgi południowe Syberyi zachodniej (Omski, Petropawłowski prowincyi Akmolińskiej, Iszymski i Kurhański gub. Tobolskiej), wytwarzające przeważnie pszenicę, już dziś mają ułatwiony jej zbyt, dzięki kolei Syberyjskiej. Zatem zboże Rosyi europejskiej może znaleźć poważne współzawodnictwo w ziarnie syberyjskiem. Dziś Syberya wytwarza przeszło 160,000,000 pudów różnego zboża, a więc posiada go dużo do zbycia. Doświadczenie nauczyło, jak jest groźną dla starych krajów konkurencya rolnicza krajów ekonomicznie młodych. Jak wiadomo Ameryka i Australia powstrzymały rozwój produkcyi rolnej w Europie, zmniejszyły intensywność jej rolnictwa. „Wkrótce na rynku wszechświatowym stanie nowy współzawodnik. Nie jest on zasobny w siły kulturalne, w wiedzę i przemysł; dziś pierwotnemi narzędziami rolniczemi ryje swą ziemię. Lecz gdy fabrykanci z za Uralu przywiozą mu koleją żelazną udoskonalone narzędzia rolnicze — zwiększy się skuteczność jego pracy.“ Ziemia jego nie obfituje w siły rozrodcze i już jest w znacznej mierze wyczerpana; ale Syberya posiada olbrzymie obszary, więc panuje swą przestrzenią, a jeżeli będzie musiała uciec się do sztucznego użyźniania gruntów, to nawet i w takim razie kultura rolna nie będzie kosztowna.

Współzawodnictwo zboża syberyjskiego przewidywano już w chwili rozpoczęcia budowy kolei Syberyjskiej. Dlatego prawie jednocześnie przystąpiono do budowy kolei Permsko-Kotłaskiej, która połączy Dźwinę Północną z rzekami syberyjskiemi. Linia ta, zdaniem p. Studnickiego, uczyni Archangielsk najodpowiedniejszym portem Rosyi europejskiej dla zboża syberyjskiego. Kolej Permsko-Tiumeńska, zwana Uralską, jako cząstka linii Permsko-Kotłaskiej, ważne ma znaczenie w rozwoju wywozu syberyjskiego. Wpływ wszakże tej drogi w znacznej mierze jest uwarunkowany przedłużeniem jej od Tiumenia do Tobolska.

P. Studnicki wróży drugorzędną rolę kolei Syberyjskiej pod względem wywozu: W handlu zbożowym drogi wodne, jako najtańszy środek komunikacyi, mają doniośléjsze znaczenie, niż koleje żelazne. Pod względem komunikacyi handlowej żadna kolej w Rosyi nie ma dla niej takiego znaczenia, jak Wołga. Handel zboża oraz większości produktów syberyjskich pójdzie przeważnie drogami wodnemi. Nie stracą one swojego znaczenia nawet po całkowitem dokończeniu kolei Trans-Syberyjskiej. Twierdzenie to jest trochę ryzykowne. Autor zapomina, że droga wodna trwa tylko parę miesięcy, że ulega różnym kaprysom geograficznym, że jest znacznie dłuższą, niż kolejowa, że wreszcie kombinacye taryfowe mogą z czasem jeszcze bardziej zniżyć znaczenie komunikacyi wodnej. Nie należy w końcu i o tem zapominać, że skrócenie

*) Władysław Studnicki: „Syberya współczesna.“ Kraków, 1898.

czasu przewozu na przestrzeni kilku tysięcy wiorst ma niezmiernie ważne znaczenie.

W obecnych warunkach handlu płodami rolnictwa, autor przewiduje w niedalekiej przyszłości donioślejsze znaczenie wywozu mięsa. Z chwilą, gdy kolej Syberyjska doszła do Kurhanu, zaczęło się zjawiać na rynkach w Moskwie mięso syberyjskie. Jest ono tanie, lecz podrzędnego gatunku. Niewątpliwie jednak będzie miało powodzenie śród warstw ubogich. Już obecnie posuwa się coraz dalej ku zachodowi. Dotarło do Smoleńska, gdzie je sprzedawano po 2 rb. 25 kop. za pud (na miejscu w Kurhanie kupiono po 75 kop.). Kosz przewozu koleją wyniósł 500 rb. za wagon. Mięso to dochodzi także przez Smoleńsk do Mińska, Wilna i Witebska.

Okręgi południowe gub. Tobolskiej, generał-gubernatorstwo stepowe (okręgi: Akmoliński, Semipałatyński i Semireczeński) oraz stepy Barabińskie posiadają warunki odpowiednie do hodowli bydła. Mięso syberyjskie nie odznacza się wszakże dobrocią, co pochodzi głównie z ekstenzywnej gospodarki stepowej. Przypuszczamy jednak, że z czasem hodowla bydła na Syberyi znacznie się udoskonali, a wtedy rynki Cesarstwa i może Królestwa Polskiego zapełnią się mięsem syberyjskiem.

Czy rozwój przemysłowy Syberyi i jej kolej pozostają w związku z przemysłem Królestwa Polskiego? — zapytuje autor wraz z wielu interesowanymi w naszym kraju. Dziś Królestwo wysyła na Syberyę obuwie warszawskie, które jeżeli nie będzie zniesławione przez tandetę żydowską, w ostatnich czasach obficie wysyłaną, to niewątpliwie potrafi utrzymać się długo na rynkach tamtejszych. Sukna fabryk, założonych przez Żydów, przybyłych z Cesarstwa do Łodzi, już obecnie niechętnie są nabywane w sklepach syberyjskich. Natomiast płótna żyrardowskie mają powszechne powodzenie na Syberyi. Polacy z r. 1863 pootwierali w wielu miejscowościach Syberyi galanteryjne sklepy warszawskie, co przyzwyczaiło rynki tamtejsze do towarów zbytkownych. Wyroby z Królestwa na rynkach syberyjskich nie mogą podbijać spożywców tanością. Dlatego to Królestwo tylko wytwornością i dobrym gatunkiem swych towarów mogłoby wyrobić dla nich trwałe powodzenie w Syberyi. „Na rynki Japonii i Chin nie możemy liczyć. Japonia staje się krajem przemysłowym i w niej wyroby Królestwa nie znajdują zbytu. Ażeby pozyskać rynki chińskie, trzeba przystosować wyroby do gustu Chińczyków, należy zbadać ich przyzwyczajenia i potrzeby." Na granicy chińskiej, w Czu-gu-cza-ku, wyroby rosyjskie, jako nieprzystosowane do wymagań Chińczyków, nie mogą współzawodniczyć z angielskimi. W jakim stopniu ujemnie lub dodatnio kolej Syberyjska oddziała na interesy ekonomiczne Królestwa Polskiego, autor nie wypowiada stanowczych i pewnych wniosków; pozostawia to czasowi. Przypuszcza tylko, że nasi rolnicy więcej stracą, niż przemysłowcy zyskają.

Przyrodzone warunki Syberyi dają jej możność wytwarzania niemal tych wszystkich przedmiotów, które sprowadza obecnie z Rosyi europejskiej. „Stosunkowa taniość wytworów na miejscu, dająca możność uniknienia kosztów przewozu, zachęca fabrykantów do otwierania zakładów przemysłowych w krajach, wytwarzających materyały surowe. Jak bawełniane fabryki angielskie przenoszą się do Indyj, tak fabryki Rosyi wschodniej, przetwarzające produkty surowe Syberyi, będą musiały albo przenieść się na Syberyę, albo postradać ten kraj, jako rynek zbytu dla swoich wyrobów." Na rozwój przemysłu syberyjskiego wpłyną kapitały z różnych stron Rosyi i z Europy. Zleją się one z kapitałami syberyjskimi, tak samo jak ich posiadacze czy przedstawiciele zleją się z ludnością miejscową. „Czas, co wszystko przeobraża, przeobraża nazwiska kulturträgerów z Constanów i Straszewiczów na Konstantinowów i Trusowów. Wysoka stopa procentowa Syberyi ściągać do niej będzie kapitały."

Co do wpływu ekonomicznego komunikacyi kolejowej na stosunki miejscowe, autor przewiduje wzrost ognisk przemysłowych w tych miejscach, gdzie kolej Syberyjska przetnie rzeki. Ogniska takie powstaną i rozrosną się: w Omsku, okolicach Tomska, Krasnojarska i Irkucka. Dziś, pomimo że w znacznej części jeszcze nie wykończono kolei, wpływ jej jest już widoczny w wielu miejscowościach. Handel syberyjski przechodzi już na inne tory. Zaczyna się upadek sławnych jarmarków w Iszymie i Irbicie. Z dojściem kolei przez Kurhan i Petropawłowsk do Omska kupcy moskiewscy po masło, sadło, futra i skóry zaczęli jeździć do miast powyższych, dokąd coraz to szerszym potokiem płyną produkty z prowincyj stepowych.

Dziełko p. Studnickiego wzbudziłoby u nas większe zaciekawienie, gdyby autor postarał się zbadać i scharakteryzować szczegółowo i wszechstronnie przyszły wpływ kolei Syberyjskiej na stosunki ekonomiczne w naszym kraju. Wszakże ten jeden nie zaznaczony przez niego fakt, że Warszawa stanie się stacyą przeładunkową między Europą zachodnią a Azyą, ma już dla nas doniosłe znaczenie. Nadto prawdopodobne jest jeszcze jedno zjawisko, nie zupełnie dla nas pożądane: odpływ dobrowolny sił dzielniejszych i przedsiębiorczych do Syberyi.

W DALI.

Rostów nad Donem. W mieście tem obchodzono uroczyście setną rocznicę urodzenia Adama Mickiewicza. Dnia 24 z. m. w sali klubu miejskiego, na mocy pozwolenia władzy, odbył się wieczorek ku upamiętnieniu rocznicy urodzin poety. W sali na wzniesieniu stanął w zieleni biust Mickiewicza. Wogóle sala była pięknie przystrojona. Adwokat Sztajermark wygłosił odczyt o twórcy „Pana Tadeusza," za co podziękowano mu rzęsistymi oklaskami, poczem amatorka, pani Hera, odegrała kilka utworów Chopina, p. Snarski wypowiedział ustęp z „Konrada Wallenroda," wreszcie p. Ryło urozmaicił wieczór grą na skrzypcach. Część pierwszą programu zakończył obraz żywy, przedstawiający Zosię (panna Barykowska) i Tadeusza (p. Masłowski), ugrupowanych około biustu poety. W części drugiej wieczoru sędziwy p. Czaplicki deklamował z zapałem ustęp z „Pana Tadeusza"; p. Górski ubarwił program artystyczny grą na wiolonczeli, p. Hera z humorem i swadą wypowiedział „Czaty" i „Przyjaciół," wreszcie śpiewała p. Rogowska. Odchylono zasłonę aby przedstawić drugi obraz żywy; była to apoteoza Mickiewicza. Wśród lasu kwiatów biały biust poety wieńczyła wawrzynem dziewica w bieli (panna Malczewska), z gwiazdą nad czołem. Pod względem finansowym wieczór udał się wybornie, dał bowiem kilkaset rubli dochodu na dokończenie budowy szkółki przy kościele. Szkółka ta będzie chlubą dla Rostowa; gmach to duży, w którym zastosowano wszelkie najnowsze wymagania hygieny. Obecnie proboszcz, ks. Dołęgowski, krząta się około utworzenia Towarzystwa dobroczynności, którego ustawę złożono już władzom do zatwierdzenia.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według zapewnienia prasy rosyjskiej, zakres kas emerytalnych kolejowych będzie rozszerzony. Mianowicie mają być dopuszczeni pracownicy nieetatowi.

— Kurator domu schronienia dla starozakonnych, p. Bergson, zwrócił się do rady miejskiej dobroczynności publicznej w Warszawie o pozwolenie na budowę przytułku dla idyotów. Ma on pomieścić 15 mężczyzn i tyleż kobiet. Obecnie, z braku odpowiedniego lokalu, 15 mieści się razem z nieuleczalnymi i paralitykami. Fundusz na budowę i utrzymanie pawilonu dostarczą ofiary osób prywatnych. Rada miejska przyjęła to przedstawienie, a do zbadania tej sprawy zaprosiła pp.: kuratora Bergsona, naczelnego lekarza szpitala i budowniczego Oraczewskiego, oraz nadzorcę domu. Zakłady takie wogóle bardzo są pożądane w Warszawie i całym kraju. Oby przykład zabiegów garstki starozakonnych oddziałał dodatnio wogóle na inicyatywę prywatną i społeczną.

Opieka nad niemowlętami. Na zlecenie władzy wyższej warszawski urząd lekarski opracował przepisy, które mają obowiązywać przytułki mamek i położnic, utrzymywane przez akuszerki: 1) Kobiety wiejskie, pragnące wziąć dzieci przy piersi na wychowanie, powinny złożyć właścicielowi kantoru mamek albo utrzymującemu przytułek dla położnic świadectwo właściwego wójta o środkach utrzymania, kondicie i miejscu zamieszkania, następnie powinny być zbadane pod względem zdrowia fizycznego i zdolności karmienia. 2) Właściciele kantorów mamek i utrzymujący przytułki dla położnic powinni co miesiąc składać urzędowi lekarskiemu wykazy ze szczegółowem wymienieniem imion, nazwisk i adresów matek, których dzieci są oddane na wieś na wychowanie, oraz imion, nazwisk i adresów kobiet, które wzięły do siebie te dzieci, wraz z uwagami lekarzy o stanie ich zdrowia i zdolności karmienia, przyczem do wykazów tych należy dołączać świadectwa wójtów gmin. 3) Po otrzymaniu tych danych urząd lekarski sporządzi spis kobiet, biorących niemowlęta na wychowanie i zawiadomi o wydaniu dzieci przez kantory mamek i prywatne przytułki dla położnic odpowiednich wójtów gmin, którzy obowiązani są zwracać uwagę na dobie utrzymanie dzieci i przesyłać co kwartał wiadomości o życiu i utrzymaniu niemowląt, tudzież o wszelkich zmianach, jak: oddaniu dziecka innej kobiecie wskutek utraty pokarmu u mamki, nieodpowiedniem utrzymaniu itd.

Szkoły. W uniwersytecie odeskim z początkiem nowego roku szkolnego otwarty będzie I-szy kurs wydziału lekarskiego.

W odpowiedzi na zapytanie zwierzchności uniwersytetu odeskiego, czy inspekcya ma obowiązek kontrolować pilne uczęszczanie słuchaczów, ministeryum oświaty orzekło, że kontrola taka jest obowiązkiem przedewszystkiem profesorów, lecz że działalność inspekcyi nie powinna ograniczać się formalnem zaświadczeniem odwiedzenia przez studenta gmachu szkolnego: przeciwnie, powinna też baczyć i na celowość tego uczęszczania pod względem pedagogicznym i dyscyplinarnym.

— *Jurid. Gaz.* donosi, że według orzeczenia ponownego ministeryum oświaty, uczniowie opuszczający gimnazya i progimnazya przed ukończeniem kursu 6 klas i posiadający gruntowną znajomość przedmiotów, wymaganą w programie od ochotników 2-ej kategoryi, mają prawo otrzymywać od zwierzchności szkolnej specyalne świadectwa, w myśl p. 7 przepisów z d. 19 marca 1874 r. o egzaminach ochotników 2-ej kategoryi. Zgodnie zaś z p. 2 rzeczonych przepisów, takie świadectwa mogą być wydawane między innemi także i przez progimnazya, za które należy poczytywać nietylko progimnazya 6-klasowe, lecz i 4-klasowe, jako jedyne, które istniały w r. 1874, tj. w chwili wydania przepisów powyższych.

Konkurs. We Lwowie komisya krajowego konkursu dramatycznego przeznaczyła do grania na scenie lwowskiej lub krakowskiej trzy sztuki, a mianowicie: jednogłośnie dramat czteroaktowy „Pożary," sześcioma głosami przeciw jednemu dramat „Na wyżynach," a czterema głosami przeciw trzem sztukę ludową „Nowe prądy." Oprócz tego otrzyma

trzy głosy dramat „Bez słońca,“ dwa „Mimoza.“ Komisya konkursowa przyzna nagrody po wystawieniu wzmiankowanych trzech sztuk na scenie.

Zapisy. Notaryusz Rutkowski z Wyżnic (Galicya) cały swój majątek milionowy zapisał na fundacyę dla kobiet ubogich.

— Władza sądowa w tych dniach ogłosiła testament zmarłego niedawno Antoniego Szelążka, obywatela m. Pyzdr gub. Płockiej. Między innemi zapisał: 300 na rzecz przytułku starców i kalek w Pyzdrach, 300 rb. na przytułek niezdolnych do pracy rzemieślników w Warszawie.

Wystawy i zjazdy. Międzynarodowy kongres dziennikarzy odbędzie się w Rzymie 4 kwietnia r. b. Co do programu, wiemy dotychczas tylko o głównej jego części: bankietach.

Przemysł i handel. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa kredytowego w Płońsku.

Wypadki. W Żytomierzu, w składzie aptecznym Wilensa zdarzył się wybuch benzyny. Brandmajster i trzech strażaków zabitych. Policmajster i dwaj komisarze policyjni ranieni.

KONKURS POETYCKI.

Jeden z przyjaciół *Prawdy*, który życzy sobie pozostać bezimiennym, złożył nam 500 rubli jako nagrodę konkursu na utwór poetyczny. Ogłaszamy więc ten konkurs na warunkach następujących:

1) Co do formy: utwór ma być napisany wierszem w jakiejkolwiek postaci, stanowić całość artystyczną, nie mniejszą wszakże, niż 500 wierszy. Może on więc być poematem lirycznym, opisowym, fantastycznym itd.

2) Co do treści: Wybór jej nie podlega ograniczeniu, z tem tylko zastrzeżeniem, że wątek powinien być swojski.

3) Utwory przedtem drukowane są wyłączone z konkursu.

4) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów 1 czerwca 1899 r. do redakcyi *Prawdy*.

5) Do rękopisu powinna być dołączona zamknięta koperta z jego tytułem i godłem, zawierająca nazwisko autora.

6) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora.

Sąd konkursowy stanowią: Antoni Gustaw Bem, Stanisław Krzemiński, Ignacy Matuszewski, Leopold Meyet, Wacław Sieroszewski, Aleksander Świętochowski, Stefan Żeromski.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 8 Января 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.